Nr. 4. Lwów, dnia 20. kwietnia 1896. Rok XIX.




PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

# NIEDŹWIEDŹ.

Napisał Władysław Spausta.

## I.

W górskiej puszczy. — Barłog. — Niedźwiedzia paleontologia. — Bachanalie przedhistorycznego łowcy. — Niedźwiedź brunatny w legendach i powieściach. — Łańcuch rozwojowy.

Zwiększonym już łukiem pomyka duża gwiazda po niebios sklepieniu — świeci jaskrawo jej tarcza, rażą wzrok odbicia promieni na śniegowym płaszczu górskiego parowu, ale mroźno tam wśród morza światła i blasków. Ledwo gdzieniegdzie na południowych stokach stopią się z wierzchu na chwilę śnieżnych puchów kryształy, a już tonie oko dnia za ciemną ścianą świerkowego boru, dyszy północno-wschodni wiatr wąwozami i głaszcze zeszkloną skorupę. W parowie cisza grobowa — szmer żywiołu zamarł i zamilkł — potok skonał w mroźnych okowach — i tylko słaba strużka wody cedzi się pod przeźroczym pancerzem głaszcząc dno zaokrąglonych kamyków. Zmalał, przycichł tam burzliwy tabun wiosenny wśród pstrokacizny rozrzuconych głazów, wśród dzikich poszarpanych urwisk brzegu — spoczął do czasu w obramowaniu wspaniałych pomników swej możności i siły. Ze spadzistych ścian koryta, ze szutrów i gruzów wyzierają obnażone korzenie drzew — grudka po grudce, kamień po kamieniu usuwa się — coraz rozpaczliwsze ukazują się kształty — wreszcie rozluźnią się całkiem życia podstawy, padnie przybrzeżny olbrzym, a wartkie wody roztopu, szarpiąc coraz dalej brzegi, popędzą go tam, gdzie już mnóstwo powędrowało towarzyszy.

Ale opuśćmy to pasmo kresowe walk żywiołu z życiem organicznem, walk nierównej siły, w których człowiek w swem zaślepieniu zwycięztwo żywiołowi ułatwia. Wiele tam drzew wspaniałych padło pod zębami czasu — olbrzymie świerki leżą, wyzierając z pod śniegu — a nikt się tam o nie nie troszczy. Wspaniałe jodły, na ktorych gałęziach niegdyś wyśpiewywał „zakonnik leśny“ swe miłosne trele, spoczęły i powracają w pieluchach mchu w odwieczne koło natury, oddając swe ciała starcze na tworzywo bujnego życia nowych pokoleń. Ale w tym chaosie, gdzie życie z śmiercią w jeden nierozerwany łączą się łańcuch, uwidocznia się i ręka ludzka; z pod śniegu sterczą siekierą zrąbane pnie, czernią się niby smużki na ogromnym gronostajów płaszczu.

Nieco wyżej niknie od słońca błyszcząca opona, bo tam ciemne pasmo gęstego boru chwyta promienie; dumne piramidy świerków wprost w chmury wzbiły swe wierzchołki, i ciemną, ponurą zielenią rysują swych koron kontury na lazurze nieba, a na ścianie lasu drgają blaski jasnej zieleni w chińskich łukach gałęzi. W spodzie, pod gęstem igliwa sklepieniem sine zalegają cienie, tylko miejscami, kędy wleciał aż w środek puszczy groźny podmuch, gdzie sterczą całe złomy wydarte z ziemi, nastawiając rozpaczliwie korzenie

ku górze — tylko tam wpada jaskrawy promień słońca, igra po fantastycznych kształtach i barwach, rodząc cuda świetlanych kontrastów.

Światło, to magiczna okrasa wszystkiego na ziemi; wszechświat przenikają jego czary, w błogim zachwycie patrzymy na świetlne dzieła natury, bo to przejawy tego samego ducha mądrości. który i naszą istotę ukształtował dla poczucia prawdy i piękna.

Ledwo dosłyszalnym szeptem grają muskane wichrem drzew konary — a z gęstwiny gałęzi brzęczy do koła piskliwy chór niewidzialnych śpiewaków. Pojedyncze niby „si, si" brzmiące głosiki z tysiąca gardziołek łączą się w jeden syczący akord i wieszczą o gęstem zamieszkaniu tej dziedziny. Wtem zaszeleściały drobniutkie skrzydełka, maleńki ptaszeczek frunął z wierzchołka drzewa, zatrzepotał się w skrach dyamentów, strąconych z gałęzi, zaświecił złotym na główce ognikiem i przepadł w przyziemnej zarośli. To prawdziwy bohater polskiej zimy — mężne i ciepłe serce tętni w tem drobniutkiem ciałku mysikrólika, istnego kolibra stref naszych, a choć zacieśnił się teraz jego rejon łowiecki, to wesół on i ruchliwy, bo w szczelinach kory, w kobiercach mchow i porostów spoczywają tam w rozmaitych stadyach rozwoju bogate zasoby jego żywności.

Naprożno oko myśliwego śledzi powierzchnię śniegu; gładko tam — tylko własny ślad kopie się w miękkiej pierzynie, a miejscami zapadasz jak w otchłań, natrafiwszy nogą na próchno powału.

Lecz nie — przecież i tędy przemknęła widocznie jakaś czworonożna istota; pod zgrzybiałym świerkiem znaczy się niewyraźnie śladzik i ginie na omszonej stronie pnia. Tam w obramowaniu siwej brody porostu siedzi jakieś stworzeńko, czarno odbijając się na tle. To czarna wiewiórka w spiralnych teraz liniach obiega potężny pień, to się pokaże, to zniknie. wskakując wreszcie na gałęź, stawia chłopca, przemyka na drzewo sąsiednie i znowu jest na ziemi, bałując się w śnieżnym puchu. Jeszcze kilka skoków i jest przy leżącej szyszce. Obwąchuje chwilkę znany przysmak, i wnet niby z grubą hawaną w mordeczce wskakuje znów na drzewo, siada przy pniu na gałęzi, układa puszysty ogon w kształcie S i trzymając w łapkach swą zdobycz. obraca ją i za porządkiem ogryza łuski chroniące nasienie.

Wtem zatrzęsły się gwałtownie wierzchołki drzew, zaskrzypiały konary, zakurzyło się w górze i całe płachty śniegu spadły na ziemię. Umilkł pisk ptaszków, zniknęła gdzieś w gęstwinie wiewiórka — a szumny Aquilon, lecąc gwałtownie od Laponii brzegów, wygrywa coraz głebiej w puszczy swą dziką melodyę. Jakiś cmentarny nastrój ogarnia duszę w chwili, gdy groźne żywioły zagrają w okół — ale wnet mija groza, bo znów z dala dolatują wieści nadziei i szeptów miłosnych — znów w głębi natury budzi się głos powabny i zadaje kłam małodusznym uczuciom zwątpienia...

Przeziera już niewielka halawka wśród boru. Tam wiatr igrając śniegiem poodkrywał ziemię i widać pociągające dla oka dywany mchu niby zielone pasma nadziei, a dalej z ponad krętej debry dolatuje jakichś ptaszków świergot. Kto raz posłyszał donośny ich głosik, ten się nie pomyli z czyjego on gardziołka pochodzi; to nasze papugi *vulgo* krzywodzióby obsiadły wierzchołki i w najpocieszniejszych pozach wieszając się dzióbami i łapkami operują pędy i szyszki szczytowe. W debrze, na samym szczycie młodego świerka, siedzi purpurowy samczyk i z zachwytem wyspiewuje swoją pieśń godową — ani go straszy Boreasz północy, ani trapią śniegu wały; ćwierka w najlepsze swe odwieczne trele, a nieco opodal w połowie wysokości drzewa siedzi napuszona żółto-zielona połowica, siedzi, bo cięży w jej łonie miły balast nadziei. I na tym świecie, gdzie robak śmierci lęgnie się i w bujnym kwiecie, — na odwrót, wśród pozornie obumarłej natury, tli iskra nowego życia, podniecając wśród lodów i zimnej zawieruchy ciepło macierzyńskiego łona.

Czem niżej w debrę, tem śnieg głębszy, kopniejszy. Zielone pióropusze zmarzłej paproci topią się w miękkim puchu i tylko miejscami przeziera na powierzchni liść złamany. Na gałęziach drzew i krzewów leży śnieg nietknięty; widocznie to zacisze, chronione naturalnymi wałami od wichrów, lecz tem bardziej wystawione na skutki okiści. To też mnóstwo łomaków wyziera nad powierzchnią, a inne zarośle wytrzymują do czasu balast, tworząc istne budy, klimatyczne Merany wśród mroźnej i wietrznej puszczy. Nieprzebyta to dzicz i gęstwina, pałace natury, które umie wyzyskać o tej porze zmysł zachowawczy zwierza.

Zapierając oddech, całą istotę zamieniwszy w słuch i we wzrok, myśliwskiem przeczuciem prowadzeni, podsuńmy się bliżej pod taką twierdzę natury. Prawie na środku rozszerzonej od spodu debry leży kilka łomów skrzywionych w rozmaitych kierunkach. z pomiędzy nich wyrasta kupka wierzb karłowatych, a wszystko to okala wianek łoziny. Ledwo strzały złomów znaczą się pod śniegiem, a niezliczone gałęzie krzaków. przygięte okiścią, to oparły się na strzałach i gałęziach powałów, to zatopiły się głęboko, wytwarzając cały labirynt grot i kryjówek. Tropy nie zdradzają niczego; czyżby niezamieszkane były te pałace?

Jeszcze krok bliżej. Jakaś niegodziwa gałązka trzasnęła pod nogą, a w gęstwinie rozległ się groźny szelest, szelest zmieniający człowieka w głazową figurę. Serce się tłucze — jakaś zmora ciśnie cię aż za gardło — serce wszystko przeczuwa, choć wzrok niczego dojrzeć nie może. Wreszcie ustał szelest i oku się zdaje, że widzi ponad gęstwią subtelny obłoczek pary - a ucho podchwytuje już wyraźnie pomruk basowy niedźwiadków.

Już nie ma wątpliwości; stoimy nad posłaniem groźnej położnicy. Ułożyła się ona znów na swem mchowem łożu, nie rozpoznawszy stojącego opodal posągu człowieka, nie dosłyszawszy uderzeń jego serca.

Ot! szczęście, może szczęście obopólne — w ręku sama tylko laska, jedyna towarzyszka bezpretensyonalnej wycieczki. Dzięki jej skończyło się tylko na pięknej sielance, mogącej się tak łatwo przemienić w tragedyą, do której człowiek w swej zapamiętałości zawsze posunąć się gotów, nie wyjmując i tej wyjątkowej chwili, w której geniusz gór również i nad kosmatych drapieżników rodziną roztacza swe opiekuńcze skrzydła. Posłuchajmy przeto tym razem głosu Archeusza przyrody, posłuchajmy z pewnem zastrzeżeniem i opuśćmy tę dziką ustroń, gdzie już na najwynioślejszych gór grzbietach czernią się pożegnalne dnia blaski, gdzie w przeźroczach kobaltu toną kulisy widokręgu, a szare majaki nocy poczynają zalegać głęboką debrę...

Niezadługo już zalśnią na niebie miriady nieznanych światów, błyśnie na południu Orion - mrugnie Syriusz od wschodu — a woźnica przeganiać będzie po zenicie nieba iskrzącą Kapellę*).

Wzrastajcie zdrowo, wygrzewajcie się pod tym znakiem zrodzone drobne maruszęta! Kiedyś może wyzwie wasze

*) Konstelacya ta jest widoczną w połowie stycznia wieczorem

groźne zjawisko do krwawych zapasów — lecz na dziś jesteście tylko powodem, że przyglądniemy się choć pobieżnie dziejom waszego rodu

* * *

W rozmaitych językach zapisano już mnóstwo papieru o przyrodzie niedźwiedzi, lecz mimo to pozostało wiele kart ich życia okrytych tajemnicą albo wypaczonych w sposób monstrualny, gdy na łacińskiej kanwie podań myśliwskich haftowała ciężka ręka wzór bardzo nieprawdopodobny. Ba, i w naszych czasach nie koniec tajemnicom. Zwierz pokaźny, największy drapieżca lasów europejskich — a przytem zwierz na pół domowy, męczennik byle jakiej budy wędrownej — przedstawia bardzo poważne luki w swej biografii.

Trudne to do uwierzenia — a jednak prawdziwe.

Gdy jeszcze niedźwiedź należał do najzwyklejszych zwierząt lasów europejskich, nikt się ściśle nie zajmował poznaniem jego przyrody; w sposób intuacyjny wytwarzano o nim bajki. Jak o wszystkich zjawiskach przyrodniczych, powstawały senzacyjne wprawdzie, ale tem nieprawdziwsze historye i wkorzeniały się coraz mocniej w pojęciach narodu. Gdy nastały czasy ściślejszych nieco badań, należał już niedźwiedź we wielu krajach Europy do rzadkości. Zabrakło przeto materyału przyrodnikom, bo za taki nie mógł starczyć niedźwiedź, przepędzany od czasu do czasu na łańcuchu, lub więzień klatki menażeryjnej. Nie pozostało zatem nic więcej, jak kompilować dawne zmyślenia na sosach zastosowanych do wymagań czasu. I taką jest specyalna literatura o niedźwiedziu aż do czasów bardzo niedawnych, nie wyłączając dzieł niemieckich, celujących gdzieindziej taką ścisłością. Dopiero w ostatnich czasach udało się niektórym badaczom zdjąć bodaj częściowo tajemniczą zasłonę z pewnych funkcyi życiowych niedźwiedzi.

Organ naszego Towarzystwa łowieckiego w ciągu ośmnastoletniego istnienia swego zamieszczał od czasu do czasu ciekawe fragmenty z życia niedźwiedzi. I tłómaczenia z obcych autorów i spostrzeżenia naszych myśliwych wypełniały karty „Łowca“. W rozmaitem oświetleniu stawał nieraz myś przed forum myśliwych; z zapadłych puszcz nad Berezyną i Dźwiną, z moczarnych ostępów nad Prypecią, z odwiecznych karpackich borów dobywała go nieraz ręka niestrudzonych naszych łowców. My jeszcze mówić możemy o „naszym niedźwiedziu“. zaliczyć go do rodzimego łowiectwa, bo potężny ten drapieżnik tworzy w pewnych dzielnicach ziemi naszej charakterystyczną cechę pierwotnych zwierzostanów, cechę, którą z małymi bardzo wyjątkami utraciło już dawno łowiectwo na Zachodzie.

Potężne zjawisko niedźwiedzia zaćmiewa dotąd jeszcze wszystko inne, co na polu kulturnego łowiectwa po dziś dzień u nas zdziałano — i nawet w chwili uroczystej, gdy chodzi o demonstracyę naszej kulturnej działalności, nie możemy się pozbyć tych pawich piór pierwotnej natury, kryjąc pod niemi braki i niedostatki w innym kierunku.

Podtrzymują te pozory u obcych przesadne o łowiectwie naszem wyobrażenie, a swego czasu nadały ojczyźnie naszej nazwę „Bärenlandu“ w najgorszem tego słowa znaczeniu. Z „Bärenlandu“ już niedaleko do Azyi, a wcale blisko do „Halbazyi“ — i pod tą nazwą zasłynęliśmy w powiastkach aż nad brzegami modrego Dunaju, w potwarzach, które wykrakał umysł, wykarmiony naszym chlebem, lecz nie posiadający miłości do tej ziemi, która go wychowała i długi czas gościła.

Nie żal by może było nosiś usprawiedliwioną nazwę „Bärenlandu“. Ot, z tymi czworonożnymi brutalami byłoby nam nieraz może i lepiej, niż.... Ale zapomnijmy o tem, a podnieśmy raczej fakt, że niedźwiedź dawno już temu stał się mieszkańcem tylko wyjątkowych puszcz na ziemiach naszych. W nich jeszcze odkrywa się scenerya pierwotnych stosunków natury i nastręcza sposobność spostrzeżeń, zanim i z tych azylów nie wymiecie go postęp czasu.

Nudną by rzeczą było pisanie monografii niedźwiedzi — przemłócićby tu trzeba dużo starej słomy, powtórzyć rzeczy znane — to też pragnę podnieść niektóre tylko momenty z ich życia w oświetleniu dzisiejszej wiedzy i poświęcić im krótkie historyczne wspomnienie. Należy się to zwycięzonemu kudłaczowi. z którym już w pierwszem zaraniu swego istnienia stoczyć musiała ludzkość stanowczą walkę o kąt przytułku i prymat panowania.

* * *

W dość porządnej łączności ciągnie się łańcuch rozwojowy niedźwiedzi. Eony wieków pracowały nad stopniowem ukształtowaniem tego wałowatego cielska. Już w miocenie formacyi trzeciorzędnej występuje twór, na którym dostrzedz się dają charakterystyczne kształty odnóży niedźwiedzich. Jest to znany na obu półkulach *Amphicyon*, praojciec dzisiejszych kanidów i niedźwiedzi z uzębieniem psów.

W następnych młodszych epokach coraz to większy wytwarza się rozdział. W Pliocenie pojawia się *Hyenearctos*, a dalej w górnych warstwach Pliocenu już wyraźny wyłania się niedźwiedź, z uzębieniem mniej ostrem, w którem szczególniej zęby trzonowe o pagórkowatej powierzchni wskazują typowego wszystkojada. Był to typ mogący stawić czoło wszelkim wrogim przejściom, jakie go czekały wśród zmiany następnych epok geologicznych. I w samej rzeczy twór ten odporny zamieszkuje długie wieki ziemie europejskie; jest to straszny swym wyglądem niedźwiedź jaskiniowy, większy od wszystkich po dziś dzień istniejących gatunków, większy od niedźwiedzia białego i od siwego amerykańskiego w stosunku jak 9 : 7 — niezbyt miły sąsiad pierwotnego człowieka, bo współubiegający się z nim w zdobywaniu żywności i mieszkania.

O ile analogia i kopalne resztki jaskiniowca świadczyć mogą, był to zwierz stosunkowo łagodny, bo gdyby nie to, krucho by było z troglodytą-człowiekiem. Uzębienie i słabe listwy czaszkowe nie wskazują na wielkiego drapieżcę, a ciężkie, ogromne kształty szkieletu mogą wprawdzie imponować, nie dają jednak wielkiego wyobrażenia o drapieżności zwierza, tem bardziej, że natura w harmonii świata łączy zazwyczaj z wielką siłą i z olbrzymimi kształty prawdziwą łagodność. Ale nietylko wielkością różnił się niedźwiedź jaskiniowy od innych odmian geologicznych; również uzębienie stanowi w nim wybitną cechę. Podczas gdy inne niedźwiedzie n. p. t. z. *Ursus priscus*, najmniejszy z odmian kopalnych, po 4 zęby trzonowe w szczęce górnej posiadały, miał ich tylko 3 wielki jaskiniowiec.

Mimo prawdopodobnej łagodności charakteru, był jednak niedźwiedź niedźwiedziem i musiał sprawiać wiele nieprzyjemności w bliskiem pozostając sąsiedztwie. Długo musiały trwać z nim zapasy człowieka. Oprócz wysp brytyjskich, wszystkie ziemie europejskie wyraźne tych zapasów zachowały ślady, a prawdziwie tryumfalną musiała byc uczta urządzona przez przyszłego pana ziemi, gdy kudłaty potwór dostał mu się wreszcie w łowieckiej zdobyczy. Buchał wówczas wesoły ogień w skalistej grocie i zasiadała wokół garstka łowców rozmaitej płci i wieku. Przypiekają zatknięte na patyku grube połcie niedźwiedzia, korzenią, posypując jedyną przyprawą — popiołem — skwarczące mię-

siwo, a jest i jarzynka, coś na wzór naszego szpinaku, organicznie ciepła, bo ją wydobyto z wantucha świeżo zabitego rena, — potrawa. której i po dziś dzień używają w strefach arktycznych. I puchar krąży wokoło, niestety u tych dzikich ludzi jeszcze tylko z wodą! a puharem czaszka rena lub łosia, wyciosana zaostrzoną kością dolnej szczęki niedźwiedzia.

Taka to bachanalia odgrywała się ongi w grocie Hohlenfels (Rancke der Mensch II. 418), gdzie widocznie nie posprzątano od stołu, a niezliczone razy powtarzało się to samo w innych czasowych sadybach przedhistorycznego człowieka, gdzie czas i kolejne przejścia geologiczne pozostawiły nam tylko liczne urywki prawdziwego stanu rzeczy. Lecz nie skończyłbym mej wędrówki, chcąc iść za śladem jaskiniowca; poprzestać zatem muszę tylko na kilku przykładach, ilustrujących pobyt i rolę tego zwierza.

Jeszcze w przedlodowcowej epoce szczątki niedźwiedzia tego stanowią znaczny procent kopalnej fauny. Rzecz całkiem naturalna, że dominują tam zawsze resztki zwierząt żyjących w stadach i roślinożernych, n. p. w grocie Ofnet we Frankonii znaleziono 64% kości konia dzikiego, a tylko 2% jaskiniowca. (*Koresp. Blatt der deutschen Geselsch. für Antrop. Etnogr. u. Urgeschichte*). Podobny stosunek kopalnych resztek fauny odkryto w grotach Ojcowskich (*Quaternärfauna 1880 p. 483. Alf. Nehring*), w grocie mamutowej pod Krakowem, gdzie obok jaskiniowca znalazły się i resztki niedźwiedzia brunatnego (*A. Cohn u. Dr. Mehlis, Mater. zur Vorgeschichte des Menschen im östlichen Europa, I. p. 22*).

Niedźwiedź brunatny pojawił się na naszych ziemiach wśród epok lodowcowych, gdy zatracał się zwolna jaskiniowiec, niegdyś współczesny mamutom, nosorożcom i hyenie jaskiniowej, stawszy się reprezentantem młodszej fauny dyluwialnej.

Zapuszczanie się w walkę z niedźwiedziem, w obec ówczesnych środków, nie należało do rzeczy zbyt łatwych i częstokroć było dziełem konieczności. Pogromca takiego potworu, podobnie jak to ma miejsce jeszcze po dziśdzień u narodów pierwotnych, zasługiwał na miano bohatera — bo ubicie takiego konkurenta bytu, krom użytków, jakich dostarczało jego cielsko, było dla całych sadyb prawdziwem dobrodziejstwem. Twardy niedźwiedzia kościec dostarczał broni i narzędzi, mięso i tłuszcz należały do przysmaków, zęby nawiązane na sznurek stanowiły dekoracyę piersi obojga płci, a skóra kudłata była chyba ideałem wygód mieszkańców północy. I spokojnie przemieszkiwała troglodytów rodzina w skalistym azylu, gdy na skórach zwalczonego potworu wylegiwał się patryarcha rodu. Myśl odtwarzała świetne sceny niedawnej przeszłości, a natchniona ręka ostrą kostką na miękkiej łupku płycie kreśliła postać zwalczonego zwierza.

Charakter demoniczny niedźwiedzia utrzymał się do późna w wyobraźni narodów, uwiecznił się w chrześciańskiej legendzie, a na miękkiem posłaniu jego skóry wylęgiwali się w późnych już wiekach historycznych pierwsi z narodu.

Za czasów, gdy jeszcze Zbawiciel chodził po ziemi — baje powieść ludowa — mielnik pewien chcąc się przekonać, czyli on rzeczywistym jest bogiem, ukrył się pod mostem, którędy Zbawiciel miał przechodzić, a gdy Chrystus się zbliżał, wyskoczył raptem z ukrycia, chcąc go przestraszyć. „Ty co chcesz straszyć — odrzekł mu spokojnie Zbawiciel — bądź straszydłem dla ludzi“. I zamienił go w niedźwiedzia, pozostawiając mu jedynie w łapach podobieństwo człowieka. Przypomnienia wieków z mglistej przeszłości odbiły się niezawodnie w tej baśni, osnutej na tle chrześciańskiem. Z dziejów starożytnych dochodzą nas zewsząd wieści o demonicznej roli niedźwiedzia w wyobraźni narodów, a na klasycznym gruncie Hellady zrodził się piękny myt o niedźwiedzicy Kallisto i jej synku Arkasie — myt uwieczniony rymami Owida w złotym okresie Augustów.

Równocześnie — jak się zdaje — z niedźwiedziem jaskiniowym znajdywały się w Europie jeszcze dwie odmiany niedźwiedzi, a różnice osteologiczne są tu tak wybitne, że nie ma najmniejszej wątpliwości co do istnienia tych odmian. Jedna z nich zbliża się do kształtów obecnie żyjącego niedźwiedzia brunatnego, druga zaś zdaje się być identyczną z niedźwiedziem siwym, podziśdzień zamieszkującym północną Amerykę. Sądząc według resztek kopalnych, jedynie jaskiniowiec zamieszkiwał gęsto ziemie europejskie; wspomniane dwie odmiany należały do rzadkich i dały powód do rozmaitych hipotez o wędrówkach niedźwiedzi w miarę zmiany warunków wyżywienia, jakie następowały wśród epok dyluwialnych. (Marsb, 2, Wallace). Wędrówki zwierząt drapieżnych zależeć miały od ruchów innych zwierząt, które im za żywność służyły, i podobnie jak główny a straszny niszczyciel zwierząt kopytnych „Machairodus“ wędrować miał ongi z Azyi ku Europie za śladami dzikich wołów i koni, tak samo i niedźwiedziom przypisują wędrówki za śladami antylop (?).

Lecz to, co dla nas wydaje się współczesnem, może niem nie było w dalekiej przeszłości, gdyż bardzo niedokładną skalą mierzymy wieki wykopalisk — a gdyby nawet i zupełnie pewną była chronologia paleontologiczna, to dlaczegoż koniecznie przypuszczać wędrówkę pewnych odmian, gdy mogły się one wytworzyć z już istniejących i żyć równocześnie z typami dawniejszymi, tembardziej, że przemiany stopniowe kształtów nie odbywały się zawsze i wszędzie w jednem i tem samem tempie. Wszystkie zatem nibyto odrębne odmiany niedźwiedzi przedhistorycznych może są tylko czasowymi typami jednej i tej samej odmiany, łącznemi ogniwami jednego łańcucha rozwojowego, w którym częstokroć formy atawistyczne mylą porządek, ale na razie nie zdołają obalić zręcznie wykazanego systemu rozwojowego w dziełach słynnego K. Vogta i innych badaczy.

Wśród odrobiny pozytywnej wiedzy, a w ogromnym lesie hypotez i teoretycznych systemów, bardzo tylko ostrożnie poruszać się wypada, nie chcąc pod pozorem postępu poświęcić prawdy dla zręcznie zbudowanych teoryi. Poskromić tu należy subjektywne dla pewnych hypotez zapały, zanim badawcza praca nie przeniknie nieco głębiej pracowni wieków, z której wyłoniło się wszystko na ziemi, i w której tak często błądzi skromna myśl ulubieńca Artemidy, gdy w czarownych jej przybytkach położy rękę na tętnach natury.

# Płaton kozak.

Kto znał Wołyń przed 40 laty, bujny, butny a wesoły, temu serce ścisnąć się musi na widok tego spustoszenia, jakie zostawiła po sobie straszna burza zniszczeniem brzemienna, szalonym wichrem gdzieś od bram piekła pędzona. Jak gdyby anioł śmierci zatoczył skrzydłami nad tą piękną ziemią —

„I wzrok daleko, próżno błądzi po równinie“ —

niema tych gęstych dworów i dworków szlacheckich, strzeliste wieżyce świątyń pańskich wyciągają ku niebu poszarpane szczyty z połamanymi krzyżami, ich mury świecą z dala jak skrwawione kościotrupy — dzwony zamilkły, zamarło życie i ruch słabnie — zrywa się nić starej tradycyi —

„I pusto, smutno, tęskno — jak gdy szczęście minie.“

„Nie tak to in illo tempore bywało“ Włodzimierski powiat znałem dobrze, dużo tam mając krewnych i znajomych, jak to mówią „z dziada pradziada“, a że życie rodzinne i pożycie sąsiedzkie w owych czasach żywszem daleko tętnem biło niż teraz, więc i pamięć o tych ludziach i ich domach przechowuje się głęboko i budzi we wspomieniach z rzewnem choć smutnem uczuciem.

Ludzie to byli o formach może mniej wykwintnych jak obecnie, ale serca mieli na dłoni, i „kmotr był dla nich kmotrem, a łotr zaś łotrem“. Inny był duch i inny cennik, podług którego szacowało się człowieka; było tam jakieś uczucie naturalnej solidarności w imie ideałów wspólnych, a uczucie to łączyło ludzi wzajemną miłością, jakąś braterską, patryarchalną, która podobno także do przeszłości należy.

Poważne domy, jak Poryck i Sielec, w pierwszym tradycya Tadeusza Czackiego i poważna, szanowna, pełna dobroci pani domu hr. Pelagia Czacka, w drugim niezapomniany dla tego kto go znał, pan Felix Czacki; dalej Bereźce z patryarchalnym pułkownikiem Marcinem Tarnowskim. On niegdyś stał w szeregach tych żołnierzy, którzy zasłaniali odwrót Wielkiej armii nad Berezyną, tradycyę i ducha tej epoki w dobrem znaczeniu słowa reprezentował. Zahartowany w boju i walkach życia, przykładem był dla młodzieży, kiedy jako starzec 80-letni siadał na konia i w mróz trzaskący polował z chartami w polu, a gdy inni podnosili kołnierze, on chował dwa palce od prawej ręki za połę lisiurki; był to znak, że musi być wyżej 15 stopni mrozu. Takich z bronzu kutych już niema — i podobno nie będzie.

Było tam jeszcze wiele miłych, zacnych i gościnnych dworów, że wymienię tylko: Buszczyńskich, Mikułowskich, Walewskich, Szemiothów; dalej Brany Alojzego Zagórskiego, Chołoniów, niegdyś Chołoniewskiego później ś. p. Marcelego Krasickiego, którego łowieckie wyprawy znane było szeroko na Wołyniu, a wreszcie Horochów, niegdyś Strojnowskich, który po kądzieli stał się siedzibą Tarnowskich. Za mojej pamięci niebył on już tem co dawniej, jednem z gniazd cywilizacyi i zamożności, z których rozprzestrzeniał się po kraju duch, jakiego tchnęła w obywatelstwo wołyńskie Krzemieniecka szkoła Czackiego; były tam jednak jeszcze ślady jego przeszłości. Atmosfera życia była mniej więcej taka, jaką przechował pięknie, barwnie i żywo, w „Moich wspomnieniach“ Xiądz Aleksander Jełowecki.

W owej to okolicy Wołynia i w owych czasach właścicielem dwóch wiosek, Szklinia i Hubina, był ś. p. mój Ojciec. Dom mieszkalny niewielki, skromny bardzo i wszystko też w nim według grobli — gospodarstwo porządne, konie wierzchowe i zaprzężne zawsze bardzo dobre i typowe, psiarnia dowodna — służba nieliczna ale wierna, podług zwyczaju ubierana po kozacku: kurtka z wypustkami, po niżej zapięty pas rzemienny z klamrą, szarawary szerokie, mała czapeczka na głowie ostrzyżonej krótko, z osełedcem po ramie. Kozaków tych pamiętam kilku, jeden z nich, Hnat Muzyka, zmarł w roku zeszłym na mojem ręku po 60-ciu latach wiernej służby. Najbardziej typowym był jednak ten, którego pamięci te kilka słów poświęcam: „Płaton Soroka“.

Sierotą wzięty do dworu, dzieciakiem różne pełnił funkcye; z razu jako pastuszek pasał gęsi i cały dzień po ugorach lub ścierniskach oddychał wonią macierzanki i wciągał w płuca, w krew i wyobraźnię ducha od stepu, który mu szumiał około głowy z wiatrem jesiennym od wschodu. W drugim roku takiego życia we dworku Hubińskim postąpił w randze na pastucha od trzody; tu już wrodzone talenta jego zaczęły przybierać kształt bardziej wyraźny, dobrał sobie ze stada najtęższego wieprza i tego tak ujeździł, że na nim wyjeżdżał na pastwiska i na nim z tryumfem wracał wieczorem, obejmując wierzchowca bosemi nożętami i wytrzaskując wesoło z bata.

Tak upłynęły pacholęciu najmłodsze lata. Na chlebie wołyńskim i powietrzu, którem oddychało swobodnie, wyrosło pacholę na silnego i zgrabnego chłopaka, który dzielnych a niesfornych dosiadał koni. Nigdy nie znalazł się żaden tak dziki, któregoby nie ujeździł — rzecz nie łatwa — bo często spotykał się z takimi dzikimi, które w owych czasach ze stepów w tabunach na jarmarki spędzano; między końmi tymi bywały czasem doskonałe, prawie zawsze bardzo trudne, podobne do owych kozackich koni, które Brandt uwiecznił w swoim obrazie „Pożegnanie stepów.“

W owych czasach szczęśliwych nie jeżdżono jeszcze z predylekcyą na bicyklach; zato jeździec i koń to była jedna dusza. I nic dziwnego, tradycya hussaryi orloskrzydłej i wspomnienia szarży Kozietulskiego pod Sammosierrą były jeszcze nie tak dawne, piosenki o ułanach i krakusach brzmiały w ustach i żyły w sercach, nam zdawało się że to było wczoraj, a będzie jutro... Inne były czasy, i ni ludzie, inne życie. Coby też powiedział sędzia z Tadeusza albo Wojski, gdyby ujrzał dzisiejszego cyklistę w pończoszkach, trzewiczkach, kusej kurteczce i jarmurce na głowie, jak cieniutkiemi nóżkami przebiera na maszynie i posuwa się na kształt pająka? Wyrwał by się Wojskiemu pewnie z ust wykrzyknik: „Półdyable weneckie!“ Może to wygodne, może praktyczne w dzisiejszych czasach „międzynarodowych dążności“ — ale dalibóg piękniejszy koń z rozwianą grzywą, rozdętą czerwoną chrapą i iskrzącem okiem, piękniejszy Farys od cyklisty. — Przepraszam wszystkich cyklistów za tę dygresyę nieprzyzwoitą, ale ja zawsze sobie choć w cichości podśpiewuję: „Niemasz pana nad ułana!“. Otóż mój Płaton nie był cyklistą, nie był prawda i Farysem, ale był doskonałym kozakiem, dojeżdżaczem, któremu ani bagno, ani gąszcze, ani pnie zwalonych drzew drogi nie zamykały; jego spryt i odwaga a konia dzielność, nie znały przeszkód w pogoni za zwierzem. —

W roku 1846 przeniósł się właściciel Hubina, sprzedawszy poprzednio tę wioskę I. J. Kraszewskiemu, do Galicyi i zamieszkał w okolicy Stryja. Stajnia naturalnie także za swoim panem posunęła się od stepów ku Karpatom, i niejeden tam koń zapewne odwracał głowę za siebie i chwytał nozdrzami powiew od wschodu, a kozacy, wierni i przywią-

zani, ze łzą w oku i smutną dumką na ustach, szli także za swoim panem w nieznaną, nową krainę, inną dzielnicę, żałując przeszłości, i patrząc nieufnem okiem w mglą przysłonięte przyszłe ich losy.

Byłem wtedy młodym studencikiem, raczej dzieciakiem, ale miałem już swego przyjaciela kucyka — drugim przyjacielem był Płaton, który uczył mnie jeździć na tym kucu i upatrywać zające. Trudno opisać, jakie to były uczucia radości i szczęścia, kiedy wracając ze szkół, witało się po drodze każde drzewo, każdą dolinkę lub strumyk, a cóż dopiero stajnię i Płatona! — Okolica Stryja była wówczas ludna, w Sokołowie mieszkał ś. p. Ludwik Stecki. wołyniak także i myśliwy zawołany, psiarnia jego na dziki znaną była jako jedna z najlepszych. W Izydorówce ś. p. Alexander Dieduszycki, o którym możnaby powiedzieć z małą odmianą jak o Podkomorzym: „Patrzcie młodzi. to już ostatni, co tak łowami dowodzi“. On nas młodych uczył polować, on zaprawiał do konia, on dusze hartował i ciało. Wielu tam jeszcze było różnych sąsiadów, o których już wspominałem, kiedy odchodzili do S-go Huberta, wiernie mu służąc całe życie, i zapewne tam w jego orszaku niepoślednie zajmują miejsce.

Płaton w Galicyi przy miękkich Rusinach tutejszych wyglądał jak prawdziwy Ukrainiec. Indywidualność jego przez porównanie zyskiwała; był jakby z drutu stalowego, a miał też konia, o którym warto choć słówko powiedzieć. Koń był tabuńczyk skarogniady około 15 miary, o bardzo szerokiej klatce piersiowej, trochę podkasały z zadem spadzistym, horbonos, z bujną grzywą i ogonem, szyją wygiętą w górę — niby brzydki, a pełen wyrazu właściwego tym koniom i charakteru stepowego. Zły był jak żmija, szpiczaste uszy tulił, zęby pokazywał i okiem krwawem spoglądał na każdego, kto się doń zbliżył. Dla Płatona był zaś jak baranek potulny. Szybki był bardzo i lekki w ruchach; skakał doskonale, nogi miał jak druty suche, a pod jeźdźcem swoim szedł w ogień czy wodę z odwagą i pewnością niezwykłą. Płaton na tym koniu, siedzący w siodle kozackiem, ze smyczą chartów w ręku, wyglądał jak Lisowczyk z 17-go wieku, zwłaszcza, jeżeli przewiesił przez plecy jednorurkę turecką srebrem sadzoną.

Wspomniałem o chartach. Dawniej mówili chrarciarze: „żart żartem, pies chartem“. Ej, nie żartem to były te charty! Najlepsza smycz: „Sokół i Mojcia“, oboje podżare, on tyko na piersi miał biały żabocik, ona coś białego na trąbce. Były to charty typu angielskiego, gładkie z krótkim włosem, pochodziły z psiarni Arcyksięcia Ferdynanda d'Este i były nieporównane. Sokół zbudowany jak dobry koń kursowy, Mojcia jak najpiękniejsze „Presse papier“, delikatna, sucha, mimo tego bardzo biercza i szybka. Nie było gracza, któryby im uszedł, nawet na kamienistych równinach porzecza stryjskiego, na których charty, nienawykłe do tego terenu, zostawiały pazury i puszczały zające. Sokół pojedynkiem brał każdego, do lisa miał predylekcyę, ale prawie nie było czasu dojeżdżać, tak z nim kończył prędko.

Druga smycz: charcica „Cudna“, wołoska, kasztanowata z długim włosem i kiciastym ogonem, chart „Bezuszek“ czarny, także kudłaty; koń Płatona ugryzł mu jedno ucho, jeszcze jak był szczenięciem i stąd jego miano. Rasa ich była niższa, gatunek mniej szlachetny niż pierwszych, miały jednak cnoty niezwykłe, zwłaszcza „Cudna“ nieporównaną była lisiarką.

Razu pewnego polowano na lisy w zimie. Udało się podjechać lisa sankami, mykita jednak trzymał się brzegu rzeki Stryja przeczuwając niebezpieczeństwo czy podejrzywając krążące sanki. Ramię rzeki bystro płynącej obejmowało wysepkę porosłą gęstemi łozami, która fortecą widocznie była dla lisa i ku niej miał on się dążąc truchtem ku rzece. Nie było czasu do stracenia. Odkryto charty. „Cudna“ jak strzała poszła za lisem, przyparty mykita hulknął w rzekę, charcica za nim i po kilku susach schwyciła go za kark, ale oboje już spłynęli. Wartkiemu prądowi wody z wijącym się lisem w pysku oprzeć się charcica nie mogła i z wodą co raz dalej płynęła. Było kilkanaście stopni mrozu. Płaton, widząc niebezpieczeństwo ulubionej „Cudny“, skoczył w wodę i brnąc powyżej pasa dopadł charcicy i wydobył ją z wody wraz z uduszonym już lisem. Ściekająca z niego woda zwarła się w chwili jednej w pancerz lodowy, ale natura kozacka próbę tę wytrzymała dobrze. Nakryty futrem, po dobrym kieliszku siwuchy przed pierwszą karczmą, wrócił do domu zdrów i w wybornym humorze, opowiadając kolegom epizod z polowania połączonego z hydropatyą.

Przed wyjazdem do szkół, w ostatnie dnie wakacyi, na dodnówkę wyjeżdżaliśmy zawsze z Płatonem i chartami na rozległe równiny pod Grabowem i Koniuchowem; było to pożegnanie swobody, pożegnanie łowów — smutno się robiło na sercu studentowi wracającamu, by kończyć nauki w „dalekiem mieście“ — a i Płaton posępniał wtedy zwykle, stawał się małomowny, tylko dumkę jakąś nucił pod wąsem.

Jednego z ostatnich ranków jechaliśmy tak koło siebie o kikanaście kroków. Ranek był cudny jak to u nas w jesieni bywa, trawy perliły się rosą do słońca, a w dali opalowe szczyty „Paraszki“*) kąpały się w mgle porannej. Konie dzwoniły wędzidłami, czasem podkowa zgrzytnęła o większy kamyk, a górą ciągnął klucz żurawi. Cisza zresztą była zupełna, nawet wiaterek nie musnął jeszcze po trawach. Wjechaliśmy na duży kawał ugoru porośniętego muszką podobną do suchej hreczki. Po krótkiej chwili Płaton zatoczył koniem i zawołał „Heco“ „heco“! Podjechałem bliżej. Zając przylepił się do kotliny, wytrzeszczył na nas ślepie. słuchy położył po sobie i zadnie skoki trochę podciągnął pod siebie — poprawił się w siedzeniu; charty naciągnęły smycz — ruszyłem koniem kopyrę, który wyskoczył jak z procy, a potem wolnym galopkiem, wierzgając skokami tylnymi, jak żeby sobie żartował. Charty, którym się jakoś smycz w obróżkach splątała, dopiero po chwili wyciągnęły się za zającem, myśmy ruszyli galopem i wesołe „hać ha!“ rozległo się w powietrzu. Zobaczywszy, że go dojeżdżamy, gracz zając zwrócił w miejscu na drogę polną prosto do wsi wiodącą po pod mały lasek, i tu pokazał co umiał. Po chwili zdawało mi się, że dystans między chartami i zającem się zwiększa, a Płaton zawołał: „O, Panie, to gracz!“

I był gracz nie lada; wyciągnął się jak struna, za nim kurz jak ogon komety, charty szły dobrze, lecz ogon robił się coraz dłuższy. Trwał ten galop pewnie z kwadrans. Droga przybliżała się do lasu na lewo, a potem nagle skręcała w prawo do wsi; zającowi zdawało się, że dosyć drogi, uczuł się pewnym i skręcił w pole, charty przecięły mu drogę skracając ją sobie, ale było już za późno; pod samym lasem charcica dała mu obrót, lecz w kilku skokach zając znalazł się w lesie. Dojeżdżaliśmy z Płatonem na spienionych koniach, kiedy charty ze spuszczonymi ogonami, wywiesiwszy języki wyszły z lasu i położyły się ciężko i szybko oddechając. W oczach ich był wstyd i żałość. I mnie się smutno zrobiło, gdyż był to pierwszy zając, który tym chartom w obec mnie uciekł. Płaton tylko powtórzył: „Panie to

*) Paraszka, najwyższy szczyt Karpat w tej okolicy.

gracz!“ i zposępniał także — a na frasunek pociągnął z manierki.

Było to moje ostatnie polowanie z Płatonem. Pojechałem do szkół i nie zastałem go już powróciwszy na wakacye. — Płaton z niewiadomego mi powodu podziękował za służbę, wstąpił do ułanów i poszedł z pułkiem do Węgier; przepadł jak kamień w wodę rzucony. — Co było powodem tej jego determinacyi, dobrze niewiem, mówić o tem nie lubiono. Wzmianka o Płatonie przykrą była ś. p. Ojcu memu, jakaś tajemniczość niezbadana okrywała ten smutny dla mnie wypadek. Był on jednym z pierwszych zawodów doznanych w dzieciństwie mojem i bardzo mi było smutno bez Płatona. Koń jego tabuńczyk poczuł także to rozstanie ze swoim jeźdźcem, chudł, mizerniał i w końcu zginął, niewiem czy z żalu, czy z braku dozoru, prawdopodobnie i jedno i dugie przyspieszyło jego koniec.

Dla mnie polowanie z chartami straciło połowę uroku; zamilkły na zawsze dumki, które Płaton nucił, powstała po nim próżnia nigdy nie zapełniona, bo też nie było po nim kozaka z równą fantazyą i poezyą w sercu.

* * *

Wspomienia z lat młodych mają zawsze wiele wdzięku, wyobraźnia zdobi je w złote i różowe piórka, których tęczowe barwy unoszą się nad minionymi czasy i przesłaniają niejedną ciemną na nich plamkę. Jak strudzony podróżą wędrowiec szuka cienia i wody dla wypoczynku i pokrzepienia sił, tak i ja spoglądam w tę przeszłość, aby zapomnieć na chwilę o szarej rzeczywistości, a młodszym pokoleniom przekazać mały obrazek z tego życia, w którem było tyle wiary, nadziei i miłości.

Przyjmijcie go młodzi z życzeniem, ażeby Wam promień ideału oświecał ciemności dróg życia teraźniejszego, bo przyszłość tylko do tego należy, kto ma nadzieję i kto w nią wierzy.

Śniatynka 6. kwietnia 1896.

*Stanisław Tarnowski.*

# Wspomnienia z łowów na dziki.

Resztki śniegów znikają — pękają lody i szumią potoki, unosząc gdzieś w dal ku morzom ostatnie ponowy i ostatnie zapewne już w tym roku odgłosy trąbek i strzałów. Z głębokich deber naszego podgórza, siedliska dzików, rodzą się te potoki, świadki naszych tryumfów i niepowodzeń łowieckich i niosą teraz heń aż do oceanów, między delfiny, wieść o tem, na co u swej kolebki patrzyły.

Ciepły wiatr szumi górą po drzewach, skowronki głoszą już wiosnę, a słonka jeszcze nie chrapie — więc dla myśliwych nastał w pełni czas ogórkowy, aż do chwili, gdy na tle wieczornej zorzy ukaże się upragniona sylwetka długodzióbego wędrowca, którego ukazanie wlewa nowe życie w nasze łowieckie szeregi.

Tymczasem strzelba na kołku; myśliwy zamiast broni opatruje pługi i zaprzęgi, ażeby z nową wiosną i z nową nadzieją rozpocząć walkę z ojczystym zagonem, który w ostatnich czasach najsłuszniej zasługiwałby na miano macoszej grzędy.

Trzymałbym gruby zakład, że w chwili, gdy to piszę, niejeden z moich kolegów myśliwych-rolników, zagłębiwszy się w labirynt różnych agronomiczno-finansowo-społecznych zagadnień, ma dużo rzadszą fantazyę i humor, niż przed niedawnym czasem w kniei, wśród wesołego myśliwskiego grona. Nic dziwnego, że w takiej czarnej chwili umysł powraca chętnie do jaśniejszej przeszłości i z lubością rozpamiętuje weselsze momenta i epizody.

Idąc za tym prądem cofam się i ja w niedaleką przeszłość i kreślę kilka wspomnień z łowów na dziki, któreśmy w naszym zakątku u zbiegu czterech powiatów (samborskiego, dobromilskiego, przemyskiego i staromiejskiego) odbyli przy końcu lutego i w początkach marca b. r.

Korzystając w części z przysługujących nam praw a w części z uprzejmości sąsiadów, mieliśmy z hr. Maryanem Łosiem do dyspozycyi prześliczną knieję, nadwyczaj malowniczo położoną na stokach najwyższej okolicznej góry, zwanej Radyczem. Knieję tę składają rewiry należące do Boniowic, Nowego Miasta, Wołczy i wreszcie słynny mateczník dzików, perła na tem paśmie, knieja w Słochyniach, własność Wgo rotmistrza Skarzyńskiego, który ją nam jak najuprzejmiej oddał do dyspozycyi.

Cała ta knieja przestrzeni około 2000 morgów jest nadzwyczaj korzystnie dla polowania położoną, gdyż góra Radycz tworzy zupełnie izolowaną całość dla siebie i od dalszych kompleksów górskich oddzielona jest dwoma rzekami, Strwiążem i Wyrwą; prócz tego opasuje ją w dwu trzecich kolej, a wreszcie w najniższej jej części okalają ją szerokie błota, utworzone przez wypływającą z Radczu rzeczkę Błozewkę. To odosobnienie sprawia, że dziki stropione raz w Radczu są jak w klatce i stanowczo strzelane być muszą, gdyż do swych ewolucyi mają tylko ten dwutysięczny pas lasów, bardzo w niektórych miejscach wąski i przerznięty nadzwyczaj pewnymi „wekslami“, przez które ruszone dziki koniecznie przechodzić i wracać muszą.

Jest to jedna z najpiękniejszych kniei, jakie zdarzyło mi się kiedykolwiek widzieć. Mimo najfatalniejszego sąsiedztwa całych band kłusowniczych z powiatu dobromilskiego, posiada przecież Radycz piękny i różnorodny zwierzostan. Jest tam sporo sarn, zajęcy i lisów i zawsze gniazdowe dziki, między którymi często kolosalne górskie okazy. Z ptactwa są jarząbki i słonki. Lecz nawet i rzadsza zwierzyna odwiedza Radycz. Przed parą laty widziałem tam rysia, który niestety cało wyniósł swoją srokatą sukienkę; również i wilki kilkakrotnie zapędzały się tutaj w czasie zim zawalnych, a obecnie nie rzadkimi są na Radczu krążące w naszej okolicy zdziczałe jelenie, pochodzące z zwierzyńca w Miżyńcu.

Gdyby ta knieja znajdowała się cała w posiadaniu fachowego myśliwego, stałaby się niezadługo jedną z najpiękniejszych w kraju pod względem rezultatów, tak jak jest bezsprzecznie jedną z najpiękniejszych pod względem malowniczości położenia i krajobrazowego uroku.

Leżąc na europejskim dziale wód, wysyła Radycz swoje potoki do Dniestru i Sanu, a z wysokiego jego szczytu roztacza się prześliczny i bardzo rozległy widok na kilkanaście mil kwadratowych równin i gór, upstrzonych kilkunastoma miasteczkami i kilkudziesięciu wsiami. Z miast i miasteczek widać u stóp Chyrów z zakładem OO. Jezuitów, Dobromil z salinami i uroczo położonym monasterem Bazylianów, ruiny zamku Herburtów, w głębi Kalwaryę Pacławską i Przemyśl, wreszcie siną, tajemniczą, bezbrzeżną dal. Z drugiej strony garbate i poszarpane góry i ciemne jodłowe bory zamykają za Strwiążem widnokrąg.

Wiążą się też do Radczu i stare tradycye. Samą nazwę tłómaczy lud w ten sposób, że tu dawniej odbywały się jakieś narady; stąd miejsce to nazwano Radną górą, później Radczem, a w części należącej do Nowego Miasta jest stroma górska kopuła zwana zamczyskiem, ze śladami dawnych obwarowań i do dziśdnia używaną serpentynową drogę, zwaną kamienną drogą. Musiał to być zapewne jeden z obronnych zamków, jakie Herburtowie w tej okolicy stawiali.

Trzeba zdrowych płuc i dobrej pary nóg, ażeby polować na Radczu, gdyż natura nie poskąpiła tu ani przepaścistych deber ani stromych stoków, ani podszytych gąszczów, przez które ledwie pies przecisnąć się może. A że nieraz wypada dwa i trzy kilometry pędzić po debrach i górach, więc nie brak tu sposobności do okazania swych chęci, i sił myśliwskich, nie brak też i emocyi, gdyż nieraz po dwugodzinnym pościgu spotykają się znużeni myśliwi w oznaczonym czasie i miejscu z tymi samymi, przed godziną lub dwoma strzelanymi dzikami. Jest to polowanie prześliczne, choć nie dla strzelaczy, lubiących wygodę, komfort i gęstą pukaninę, lecz dla prawdziwych myśliwych; a ręczę, że nawet niejeden gastronom łowiecki znalazłby tu jeszcze nieraz taką chwilę, w którejby mu serce żywiej zabiło.

Lecz odbiegłem daleko od przedmiotu, mówiąc o specyalnie przezemnie ukochanej kniei, czas więc już ostatni wracać do niego.

* * *

W ubiegłym sezonie było w naszej okolicy wogóle dzików bardzo mało. Ukazywały się one na ogromnej przestrzeni, tylko bardzo sporadycznie. Wiadomem było jedynie, że dużą bardzo partyę okolicznych dzików kryje zazdrośna głąb Radochonieckiej kniei, własności hr. Stanisława Stadnickiego, w paśmie zaś Radczu upodobało sobie kilka stad jako siedzibę lasy Słochyń, należące do pana Fortunata Skarzyńskiego. Nie mało napsuły krwi okolicznym Nimrodom tegoroczne raporty tropicieli, brzmiące przez całą prawie zimę jednakowo: „Dzików niema“ albo „Dziki były, wyszły do Rodochoniec“. Albo mniej wykwintnie brzmiący raport dobrze mi znajomego tropiciela: „Choroba by na nych, ne wychodiat ze Słochyń“. Rzeczywiście dziki przez całą prawie zimę siedziały skoncentrowane w dwóch wyżej wymienionych kniejach i gdyśmy dopiero przy końcu lutego zaniepokoili je z hr. M. Łosiem w Słochyniach, zaczęto i w okolicy polować ze skutkiem.

Śliczne ponowy, jakie spadły przy końcu lutego i w początku marca b. r., przyczyniły się nadzwyczaj korzystnie od urządzenia całego szeregu polowań na dziki, któreśmy w czasie od 25. lutego do 17. marca z hr. Maryanem Łosiem, najczęściej tylko we dwójkę lub z szczupłem gronem nie zawsze dopisujących zaproszonych odbyli.

Nie pamiętam szeregu polowań, gdzieby najkorzystniejsze warunki paraliżowane były takim ciągłym „pechem“, jakiegośmy podczas tych polowań doznawali. To też mimo obfitości dzików i ciągłych spotkań, rezultat był wcale nie odpowiadający naszym usiłowaniom. Ale też mieliśmy ciągle do walczenia z niesfornością pogonki, brakiem karności i myśliwskiego sprytu u gajowych, a co najgorsza z tą przerażającą zgodnością, z jaką prawie wszyscy uczestnicy tych łowów wyparte mozolnie dziki pudłowali.

I. Pierwszy raz odbyliśmy rekonesansowe polowanie w Słochyniach dnia 25. lutego. Obecni byli: p. Mniszek Albert, dr. Prochaska, hr. Łoś, niżej podpisany, p. Z. rządca ze Słochyń i Kochan leśniczy hr. Łosia.

Dzień przedtem otropiłem sam 12 sztuk dzików w Słochyniach, dziś rankiem otropiliśmy wspólnie z Kochanem 10 sztuk w dwóch miotach — między tymi duża samura z warchlakami, 2 sztuki 2—3-letnie, reszta warchlaki. W czasie polowania pokazało się, że dzików było znacznie więcej. Punktem zbornym raz na zawsze była dla nas karczma w Wołczy pod lasem, położona w środku eksploatowanych przez nas rewirów i tu nas oczekiwały zawsze raporty tropicieli.

Stajemy. Dziki z pierwszego miotu wychodzą bez strzału flanką. Bierzemy miot drugi. Ten był zdybniejszy. Na p. Z. wychodzi samura i 6 warchlaków w dwóch grupach w odstępie półminutowym — doskonała okazya do zrobienia dwóch dublet. Padają dwa strzały z flinty p. Z. — dziki drałują wesoło dalej. W tymże miocie odkryto dużego odyńca, którego tropu nie było rano. Odyniec poszedł na flankę. Dużo się to prędzej pisze, niż się działo. Mioty ogromne, pełne deber i gęste jak szczotka, pogonka możliwie najgorsza, gubiąca się po miotach, zostawiająca luki i robiąca wszystko możliwe, aby dobry skutek udaremnić... Doczekawszy się nareszcie pogonki, bierzemy miot plecowy, do którego poszły dziki strzelane przez p. Z. Miot ten zawarty był między linią i drogą leśną, która się z linią schodzi, kończy się zatem klinem. Obstawiliśmy wierzchołek tego klina. Miot trwał najmniej godzinę. Pogonka już doganiała, myśliwi zeszli się u samego wierzchołka klina i stoją w grupach bez żadnej już nadziei. Wtem w miocie wszczyna się piekielny hałas. Naturalnie są dziki. Rozskakujemy się jak kto może i w tej chwili widzę dwa spore dziki sadzące na mnie na kulawy sztych, zwracają jednak ku hr. Łosiowi i wąziutkim grzebieniem między dwoma kolosalnie głębokiemi debrami wypadają na 20 kroków na linię. Hr. Łoś strzela dwa razy i obydwa dziki rulują jak zające z pieca na łeb do deber. Hałas w miocie trwa dalej, do pana Alberta Mniszka podchodzi całe stado. Pan Mniszek z powodu bliskości pogonki strzelać nie może. Dziki wracają w tył, hałas ustaje, miot skończony.

Hr. Łoś cieszy się z dublety, cieszymy się wszyscy, cieszy sie i pogonka, radość ogólna, najdoskonalszy w świecie powód do napicia się wódki. Manierka krąży wokoło, a z debry wyciągają tymczasem dwie dwuletnie samury z bardzo pięknie siedzącemi kulami. Godzina dosyć późna, pogonka zmęczona, dziki poszły ku Nowemu Miastu, lecz dla spokoju sumienia bierzemy jeszcze jeden miot, naturalnie bez skutku, wyjąwszy ubicie rogacza przez podpisanego. Spożywszy pożądaną ciepłą przekąskę w karczmie w Wołczy, rozjeżdżamy się do domów.

II. Dziki przepłoszone w Słochyniach poprzechodziły w dalsze knieje Radczu. Dnia 28. lutego w Nowem Mieście w Miocie zwanym na Brzezinie z 10 stropionych warchlaków robi dr. Puchalski znowu dubletę, reszta mimo pięciu strzałów uchodzi.

III. Dnia 3. marca w Nowem Mieście, w tym samym miocie, trzy grube sztuki wychodzą niestety bez strzału flanką.

IV. Dnia 4. marca w Buniowicach polowałem sam. Otropiona duża samura i 5 warchlaków. Nie sprawdzając tropienia pozwalam się postawić tropicielom. Pogonka goni, słyszę łomot dzików, lecz za plecami. Rzeczywiście dziki fałszywie obcięte leżały o 40 kroków poza mojemi plecami. Dubleta do tropicieli — tym razem nie krwawa — była całym rezultatem tych łowów.

V. Dnia 5. marca w Słochyniach otropiono w różnych miotach kilkanaście sztuk, między tem dwie grube. Obecni hr. Łoś, dr. Ruczka, mecenas Sołowij, ja, leśniczy Kochan, p. Z. i gajowy z N Miasta. Bierzemy jako miot pierwszy dwa mioty na raz. Linię strzelców stanowi flanka górna drugiego miotu, dokąd dziki mają wagę. Ja dyryguję pogonką i operuję sam na drugiej flance. Gon się zaczyna. Mijając linię pierwszego miotu, widzę dużą sztukę i cztery warchlaki, przechodzące tę linię stępo lecz w odległości niemożliwej do strzału. Kilka rogaczy z rogami robi mi honory flanki. Wtem na górze padają dwa strzały. Miot się kończy. Dowiaduję się przyszedłszy na linię, że 9 dzików w dwóch partyach ją przeszło, jednakowoż bardzo niekorzystnie, to też strzały słyszane przezemnie były pudłami. Jeszcze przed strzałami słyszał dr. Ruczka wynoszące się z plecowego miotu dziki, jak skonstatowaliśmy później dwie grube sztuki, które wyszły ku Nowemu Miastu.

Jako drugi miot bierzemy znowu dwa mioty po drugiej stronie linii, na której stali pierwotnie myśliwi. Na hr. Łosia wychodzą 4 warchlaki głęboką bardzo debrą. Dwoma mistrzowskiemi kulami hr. Łoś wystrzeliwuje dwom warchlakom po parę szczecinek. Kula pana Sołowija omija piątego warchlaka, stojącego na linii. Hr. Łoś, który strzela gdzie stanie i w tym roku uśmiercił kilkanaście dzików, tak jest d o b r z e znanym ze z ł e j strony dziczemu rodowi, że warchlaki, ujrzawszy go, kwiczały w niebogłosy jeszcze przed strzałami (autentyczne!).

Bierzemy miot trzeci. Linię strzelców stanowi droga flankowa miotu. Prostopadle do tej drogi przez połowę miotu stoi szereg pogonki stałej, ku niej dąży drugi szereg ruchomy. Za plecami szeregu stałego i przed strzelcami w głębi pole. Dziki na flankę obstawioną wyjść muszą. Wychodzi rzeczywiście sześć warchlaków, jeden prawie biały. Przed wyskoczeniem defilują przed kilu myśliwymi. Padają strzały z broni dra Ruczki, Kochana, p. R., i gajowego Mikołaja. Kanonada ogromna — niewinność w białej szacie jest najzawzięciej ostrzeliwaną — wynosi się jednak nienaruszona wraz z towarzyszami. Konsternacya. Rezultat dnia: 10 dzików strzelanych i tyleż spudłowanych. „Pech ciągły“.

VI. D. 6. marca w Nowem Mieście, w miocie na Brzezinie, wybieramy się na obcięte już dnia 28. lutego i 3. marca na bardzo srokatem już polu 10—12 sztuk różnej zbieraniny, 3 albo 4 sztuki grube, reszta warchlaki. Stajemy, hr. Łoś, p. J., ja i gajowy Mikołaj. Gonią dwa mioty odrazu — trwa to nieskończoność. Dla urozmaicenia przychodzi lis do mnie na dwa kroki i przypatruje mi się bezczelnie. Pogonka się zbliża — dzików nie ma. Hr. Łoś telegrafuje do mnie jakąś rozpaczliwą i pełną zwątpienia depeszę — udaję, że nie rozumię. Wtem w miocie gwałt tuż przed nami — za chwilę cicho — naturalnie dziki poszły w tył. Moi towarzysze chcą już uchodzić, ja proponuję cierpliwość. Rzeczywiście hałas poczyna się na nowo i widzę trzy warchlaki, przybierające kierunek pomiędzy mnie i hr. Łosia. Skręcają jednakowoż, defilują przed panem J., którego broń milczy z jemu tylko wiadomych przyczyn i wyskakują na gajowego, który nietylko, że je pudłuje, ale zastąpiwszy swoją osobą linię, uniemożliwia nam wszelkie usiłowania strzału. Znowu „pech“. Kwaśni rozjeżdżamy się.

VII. Dziesiątego marca wychodzą na gajowego Mikołaja w N. Mieście 4 warchlaki. Mikołaj chcąc poprawić dyablo nadwerężonej sławy, robi dubletę, zakłada jeszcze jeden ładunek i rozciąga trzeciego warchlaka.

VIII. Jedenastego marca sygnalizują nam przy karczmie w Wołczy sześć sztuk dzików, nietylko otropionych lecz nawet widzianych w Wołczańskim Radczu. Dwie duże sztuki i 4 warchlaki. Pokazało się później, że było o jednego warchlaka więcej. Maszerujemy piechotą pod górę, pogonka dąży równocześnie na stanowisko. Po trzech kwadransach stoimy na drodze, okolającej miot z dzikami. Stoimy w górze, z dołu jest rozstawiona pogonka. Po kwadransie gonu słyszę przed sobą w jodłowym gąszczu dobrze mi znajome fuknięcie dzika i równocześnie widzę kilka czarnych sylwetek, pomykających przedemną ku hr. Łosiowi, stojącemu na flance i przybierających kierunek ku pogonce na powrót. Awizuję hr. Łosia, zbiegamy flanką ku dołowi w nadziei, że dziki natknąwszy się na pogonkę, wypadną na nas. Niestety! dziki przebijają rozprószoną linię pogonki i uchodzą ku Nowemu Miastu. Konstatujemy, że jedna gruba sztuka, prawdopodobnie odyniec, odłączyła sie od stada i podążyła w kierunku Słochyń, reszta stada z drugą grubą sztuką przeszła granicę nowomiejską.

Proponuję moim towarzyszom marsz przeszło dwukilometrowy do znajomego mi „wekslu“, przez który dziki przechodzić muszą. Chodzi tylko o wyprzedzenie ich tamże. Pędzimy na wyścigi przez góry i debry, aby po półgodzinnym marszu przekonać się, że przybyliśmy za późno. Dziki już przeszły i są w Buniowicach. Moi panowie mają kwaśne miny, ja jednakowoż nie tracę nadziei i z większą pewnością siebie niż z wiarą w to, co obiecuję, proszę panów o rozstawienie się na tym samym „wekslu“. Widzę niewiarę na obliczach myśliwych i uśmiech ironiczny na ustach Kochana, który jest powagą w sprawach dziczych, a choć walczy pod dewizą że „człek strzela a Bóg kule nosi“, jest mimo tego doskonałym myśliwym *„und Poet dazu“*, który rymem opiał walkę hr. Łosia nie ze smokiem wprawdzie, lecz z ogromnym odyńcem, poległym w tej walce.

Myśliwi się rozstawiają, ja mam przed sobą marsz najmniej trzykilometrowy z pogonką, ażeby obejść ruszone dziki. Miot, w którym spodziewałem się te dziki jeszcze zaskoczyć, był ultima Thule Radczu, jakich 200 morgów gołego zrębu, rozciągającego się od pól gminnych aż ku szczytowi góry. Granica tego zrębu przytyka pod kątem prostym do miotu, w którym stali myśliwi, a granicę tę w dole stanowiło ze wszech stron pole, granicę zaś górną utworzyłem obstawiając cały szczyt Radczu w tem miejscu szeregiem pogonki stałej, przecinając tym sposobem dzikom drogę przez szczyt na odwrotne stoki Radczu. Szereg pogonki stałej stał też pod kątem prostym do ściany miotu, w którym stali myśliwi i przecinał ten miot równolegle do linii strzelców na poprzek aż do leżącego po drugiej stronie bardzo głębokiego parowu, przez który dziki zwykle bardzo niechętnie przechodzą. Tym sposobem dziki znalazły się zamknięte między polem i w przedłużeniu granicy tegoż stojącymi w lesie strzelcami, z drugiej strony równoległym szeregiem pogonki stałej, z trzeciej parowem, za którym rąbano właśnie sągi, podczas gdy z czwartej strony od tyłu posuwała się pogonka. Koledzy, którzy polowali w górach, wiedzą, ile trudu w garbatym terenie wymaga przeprowadzenie podobnych zarządzeń. Nie żałowałem jednak siebie i podrażniony ciągłym „pechem“ z dzikami, chciałem koniecznie mieć w tym wypadku racyę

Ukończywszy rozstawianie, obrałem sobie jako obserwatoryum leżący w środku zrębu pagórek, z którego wszelkie ewolucye pogonki i dzików śledzić mogłem na białem tle góry. Odezwała się trąbka. Pogonka z dołu ruszyła. Za parę minut, tuż pod pogonką ruchomą, widzę 6 dzików naradzających się na rzadkiem miejscu zrębu. Po chwili znikają w parowie i wynurzywszy się znowu na drugim pagórku, przybierają kierunek ku szczytowi. Można sobie wyobrazić moją emocyę. Odparte jednak szczęśliwie przez flankę, znikają dziki napowrót w środku zrębu i po dobrym kwadransie widzę je, jak idą sznurkiem jak paciorki równolegle do górnej flanki i jak w odległości 300—400 kroków odemnie wchodzą w miot zamknięty myśliwymi.

Victoria! Serce zabiło mi młotem. Trąbka odzywa się dwa razy; ruchomy szereg obławy staje się stałą flanką, a stała dotychczas pogonka poczyna posuwać się ku myśliwym. Zbiegam z mego pagórka, dążąc ku linii, gdzie także mogłem się na coś przydać. Po drodze słyszę dwa strzały w długim od siebie odstępie, potem cisza. Przybiegłszy na linię, dowiaduje się od hr. Łosia, że duża samura była strzelana przez niego i dra Puchalskiego, że farbując przeszła linię i że warchlaki były pod linią, lecz się wróciły w tył i są w miocie. Zajmuję więc sam stanowisko na linii. Po chwili dr. Puchalski pokazuje mi pięć palców u ręki i równocześnie widzę stadko warchlaków idące między mną i dr. Puchalskim ku linii. Na 20 kroków przed dr. P. dziki stają. Dr. P. strzela 2 razy — warchlaki skręcają ku mnie i jak szatany wypadają na linię. Strzelam dwukrotnie, jeden warchlak ruluje, drugi zmyka, lecz kwiczy w niebogłosy. Dziki już przeszły. Padło 6 strzałów, każdy idzie na postrzał śledząc skutków. Po chwili wynosi pogonka z miotu parę... piór (szczeci), uciętych samurze kulą hr. Łosia, a dr. Puchalski dźwiga z tryumfem sam kawałek skóry z szczecią i słoniną, którą jego kula tej samej samurze z pod brzucha wydarła. Ja mam warchlaka i także trochę szczeci i farby z drugiego.

Z powodu zmęczenia pogonki i spóźnionej pory przestajemy ścigania dzików, zaliczając ten dzień mimo skromnego rezultatu do najpiękniejszych w tym sezonie, ze względu na nadzwyczaj urozmaicony i stosowny do zapowiedzianego programu przebieg polowania. Specyalne uznanie Kochana jest dla mnie miłą nagrodą trudów.

IX. Trzynastego marca zaczęliśmy polować w Słochyniach bardzo późno, bo dopiero około pierwszej po południu. Było 9 sztuk dzików. Ze względu na spóźnioną porę postanawiamy brać cały Słochyński i część gminnego Wołczańskiego lasu, 300—400 morgów, na jeden miot do znanego „wekslu“. Miot trwa dwie godziny, 6 dzików wraca w tył, jedna dwuletnia kulawa sztuka wychodzi źle hr. Łosiowi i po dwóch strzałach uchodzi dalej. Dwie drugie sztuki wyparte na linię nie mogły być strzelane z powodu niekorzystnych warunków. Te trzy dziki wchodzą w dalszy miot Wołczański. Otrapiam je natychmiast, otaczam miot z trzech stron pogonką, z czwartej myśliwymi. Gon się rozpoczyna. Chwilę cicho, a potem przez pół godziny wre jak w garnku. Dziki otoczone na przestrzeni najwyżej 10-ciu morgów, oszalałe ze strachu, biegają jak wściekłe po miocie. Kilka razy widzę je tuż pod polem, wyjść jednakowoż nie chcą. Wewnątrz miotu istne piekło, dziki przyparte galopują wzdłuż pogonki bite kijami i ścigane wrzaskiem rozhecowanej obławy. Na linii strzelców nie mniejsza emocya i oczekiwanie, tem bardziej, że ciągle słychać łamanie dzików i jak po klawiaturze fortepianu, przebiegający po szeregach pogonki gamowy wrzask, w miarę tego, jaki dziki przybierają kierunek. Nareszcie hałas dochodzi kulminacyjnego punktu — a potem grobowa cisza. Zrozumieliśmy. Dziki poszły w tył, a my z nosami na kwintę do domu. Kilku chłopów połamało kije na dzikach, a jeden warchlak uszedł farbując po tej łaźni.

X. Dnia 16. marca polowałem sam w Słochyniach. Wałęsały się już tylko niedobitki dzików. Mimo tego otropionych było 4 warchlaki z samurą i jeden osobny ogromny odyniec. Na tego odyńca miałem specyalny apetyt. Biorę miot pierwszy. Odyniec przechodzi do Wołczy bez strzału. Zabiegam mu drogę z pogonką, staję, odyniec wraca do Słochyń mijając mnie niestrzelany w odległości 200 kroków. Rozstawiam pogonkę ponownie i pędzę sam do oddalonego o pół mili „wekslu“. W godzinę później słyszę łamanie dzika w gąszczu jodłowym przed sobą. Pogonka głośnym krzykiem awizuje mnie o zbliżającym się odyńcu. Dzik podszedłszy ku mnie na 20 kroków, nie widziany przezemnie w gąszczu, wraca przez pogonkę w tył w środkowe mioty w Słochyniach. Znowu ta sama manipulacya, rozstawianie nagonki i nowy pospieszny półmilowy marsz do nowego „wekslu“.

W drodze nawija mi się jakiś zbłąkany warchlak, zatrzymuję się tylko tyle, ile trzeba do strzału — warchlak ruluje a ja pędzę dalej. Przybiegam i widzę w odległości może 200 kroków odyńca wchodzącego wolnym truchcikiem w miot skrajny, zawarty między polem a linią i kończący się klinem na granicy Grodowic. Wierzchołek tego klina jest znakomitym „wekslem“ dziczym i sam tam ubiegłych lat kilka dzików ubiłem.

Zostawiam towarzyszącego mi gajowego na tropie dzika z poleceniem postępowania za nim, a sam pędzę co sił na koniec klinu. Dobiegam, przetrapiam, dzik jeszcze nie wyszedł. Staję z najlepszą nadzieją. Po dziesięciu może minutach widzę mojego odyńca, rzeczywiście kolosalną sztukę, idącego ku mnie gąszczem na kulawy sztych w odległości może 70—80 kroków. Strzelać jeszcze nie mogłem i nie potrzebowałem, odyniec musiał mnie mijać najdalej na 20 kroków — stałem więc jak żona Lota oczekując na tę słusznie należącą mi się nagrodę. Wtem za plecami słyszę łomot. Zwracam ostrożnie głowę i widzę już na terytoryum Grodowic tamtejszego leśnego dążącego wprost ku mnie. Daję mu ostrożnie znaki, ażeby się zatrzymał — znaki nie skutkują — ponawiam je i w zamian dostaję prawdziwie bydlęcą odpowiedź: „A co to, czy to nie wolno chodzić, czy co!?“ Odyńcowi nie trzeba było więcej. Jak strzała zawrócił i tyle go widziałem. W oczach mi pociemniało. Mogą sobie koledzy w św. Hubercie wyobrazić mój humor po takiem niepowodzeniu. Podobnego „pechu“ po całym dniu pracy poświęconej temu odyńcowi, klęski takiej, gdym był już tak bliskim celu — i anielska cierpliwość by nie wytrzymała. Sumaryczna rozprawa z burzycielem mego powodzenia nie była jednak w stanie wynagrodzić mi bolesnego zawodu.

Zestawiam tu wyniki wszystkich polowań do połowy marca:

| | |
|---|---|
| 25. lutego hr. M. Łoś robi dubletę do samur | 2 |
| 28. lutego dr. Puchalski dubletę do warchlaków | 2 |
| 10. marca gajowy Mikołaj trzy warchlaki | 3 |
| 11. ja warchlaka | 1 |
| 16. marca znowu ja warchlaka | 1 |
| Razem na polowaniach sztuk | 9 |

Oprócz tego w tych samych rewirach i w tym samym czasie zabiła służba leśna trzy lochy i dwa warchlaki, a hr. Łoś u siebie w Czyszkach polując w singeltona zabił ogromnego odyńca i dużą samurę i zrobił dubletę do warchlaków. To

znaczy w ciągu niespełna trzech tygodni padło w naszej okolicy 18 sztuk dzików, z czego hr. Łoś trzecią część uśmiercił.

* * *

Najzupełniej niespodziewanie po lipcowych prawie upałach przy końcu marca, ubrały się nasze przedgórza w pierwszych dniach kwietnia w świeżą śnieżną sukienkę. Naturalnie, że takiej okazyi nie można było opuścić. To też wybraniec tegoroczny Dyany hr. M. Łoś dołączył do swoich trofeów jeszcze dwa dziki, a niżej podpisany w dniu 7. kwietnia miał szczęście uczynić w Czyszkach dubletę do warchlaków — trzeci warchlak, który się prosił do trypletу, zawdzięczał prawdopodobnie swoje życie tylko temu, że prawdziwem jest przysłowie „co nagle, to po dyable“, gdyż w prędkości nie mogłem sobie dać rady z zamknięciem mego drylinga. Na tej ponowie szanowaliśmy już skrupulatnie samury.

Z poprzednio wymienionymi 18-stu sztukami dzików padło więc w zimie, a raczej już na wiosnę, w naszym kącie 22 sztuki; doliczywszy zaś do tego 2 dziki zabite na czarnej stopie w Nowem Mieście i jednego w Czyszkach — dosięgła ilość zabitych dzików poważnej cyfry 25 na stosunkowo nie dużej przestrzeni.

| | |
|---|---|
| Z tego wypada na Czyszki sztuk | 9 |
| na Nowe Miasto | 8 |
| na Słochynie | 3 |
| na Wołczę | 5 |
| Razem sztuk | 25. |

Dziś mamy już 10. kwietnia, a góry dokoła bielusieńkie i ja jeszcze ciągle piszę o dzikach, gdy należałoby choć wspomnieć o słonkach. Niestety! cicho i głucho i daremnie wytęża myśliwy wzrok i słuch, by choć usłyszeć upragnione chrapanie. — Cicho i głucho dotąd i zdaje się, że tej wiosny nie dużo myśliwych będzie mogło pochwalić się choćby jakim takim rezultatem z polowania na słonki.

* * *

To są rezultaty naszych łowów na dziki. Żegnamy je z żalem, lecz czas już do sochy i gospodarskich kłopotów.

Nie wątpię, że radykalni pp. posłowie, którzy w ostatniej kadencyi sejmowej podnosili takie larum z powodu dzików, przeczytawszy te wspomnienia (jeżeli wogóle „Łowca“ czytają), nie omieszkają polecić nas względom swego stronnictwa, zważywszy usługi, jakieśmy oddali temu stronnictwu przez wytępienie tylu szkodników i dostarczenie zarobku ludności, zatrudnionej przy pogonkach i sowicie płatnej w porze, gdy żadnych zarobków nie ma.

Nie pochlebiamy sobie, ażeby to były najważniejsze przysługi, jakieśmy temu stronnictwu oddali i nie zarzekając się dalszych pod dewizą „kto na ciebie kamieniem ty na niego chlebem“ — zamykamy te wspomnienia do czasu, aż nowe ponowy znowu nas pod broń powołają.

Sierakowce dnia 10. kwietnia 1896.

*Aleksander Przedrzymirski.*

# KORESPONDENCYE.

Lwów, w marcu 1896.

**(Z polowań).**

W dniach 16, 17 i 18 stycznia 1896 odbyły się polowania w rewirach skarbu Radłów w Tarnowskiem, własności p. Dolańskiego. Polowaliśmy w dwanaście strzelb, w dwóch pierwszych dniach przy ohydnej zawierusze. Zwierzostan, szczególnie płowej zwierzyny, dzięki dobrej woli p. właściciela i sumiennemu, energicznemu pielęgnowaniu zwierzyny przez pp. leśniczych rewirowych, w Radłowskim skarbie jest fenomenalny. Podczas polowań widziano liczne rudle sarn, po kilkanaście sztuk w każdym. Podpisany zaś miał tę przyjemność, że na jednem stanowisku zrobił dubletę i dlatego tylko dubletę, że więcej ładunków w lufach nie było. Teren przygotowany był wzorowo, linie leśne w obec wielkich zawiei oczyszczone ze śniegu pługami, stanowiska zagrodzone i ponumerowane, a strzelców dowożono na każde stanowisko sankami, — słowem wygoda połączona z przyjemnością, na obfitości zwierzyny opartą. Kierownictwo polowania powierzył p. właściciel jednemu z najdzielniejszych leśniczych skarbu, p. Karolowi Scherantzowi, który wywiązał się zaszczytnie z tego trudnego mandatu.

Rezultat polowania był następujący:

W rewirze Waryś, na 84 strzałów ubito 4 rogacze, 24 zajęcy, 1 lisa; w Biadolinach na 63 strzałów ubito 11 rogaczy, 14 zajęcy, 2 lisy; w Bielczy na 67 strzałów ubito 6 rogaczy, 14 zajęcy, 2 lisy, razem przeto na 214 strzałów ubito przy niesprzyjających warunkach klimatycznych rogaczy 21, zajęcy 57 i trzy lisy — sztuk 81.

Nie potrzebuję dodawać, że serdeczne przyjęcie gości przez p. właściciela w tych miotach, które śniadaniami nazywają, wzmacniało im siły do dalszych łowów, a wyborna starka w gorzelniach p. Dolańskiego produkowana urągała wszelkiemu zimnu i mrozowi.

Chwile też, spędzone w kniejach Radłowskich, tak wszystkim gościom jak podpisanemu sprawozdawcy mile utkwiły w pamięci i daj Boże, aby się powtórzyły.

*L. G. Dziubiński.*

Z okolic Brodów 6 kwietnia 1896.

**(Z ubiegłego sezonu. — Wiosenne wieści.)**

W Kontach u p. Władysława Gniewosza jak zwykle odbyło się polowanie na wilię 24 grudnia 1895. r. Padło kilka rogaczy, kilka lisów i 76 zajęcy; dzików podczas zimy kilka zginęło, bo tam po śniegu co dnia dziki obcinają. Zajęcy mniej i sarn także w tym roku, bo już od paru lat grasuje motylica. Cietrzewi dużo namnożyło się, i teraz pomimo śniegu i mrozu tokują. Słonki zaczęły ciągnąć już 20 marca. Zwierzyna w Kontach jest karmiona zimą i bardzo pilnowana.

W Brodczyźnie mało jest zwierzyny — zajęcy prawie nic i sarn niewiele; nawet dziki tej zimy nie trzymały się, co bardzo dziwne, bo knieja prześliczna.

W Łopatynie u hr. K. Młodeckiego polowałem trzy dni w końcu stycznia. Już od kilku lat nie byłem tam na

polowaniu i teraz zostałem zachwycony ilością zwierzyny, bo sarn tam i zajęcy jak w Czechach.

Dnia 27 stycznia polowaliśmy w 14 strzelb, z których mniejsza połowa była niezła. Zabito dwa rogacze i 101 zajęcy, a dodać muszę, że była okiść i ledwie szósta część zwierzyny wychodziła na linię. Przytem wypadało cztery strzały na sztukę.

Dnia 28 stycznia wzięto sześć miotów na dziki i ubito 3 dziki, 3 kozły, 2 lisy i 66 zajęcy na 167 strzałów w 14 strzelb.

Ostatniego dnia polowania, 29 stycznia, polowano w 12 strzelb i zabito 3 dziki, lisa, 9 rogaczy i 45 zajęcy, na 137 strzałów.

To pewne, że u dobrego leśniczego trzyma się zawsze zwierzyna. Tak samo jest i tutaj, ale bo też pan nadleśniczy Wospiel dba o zwierzynę i karmi ją, a pilnuje kłusowników z żandarmami Łopatyńskimi; przytem doskonale prowadzi polowanie. Kochanemu gospodarzowi składam dzięki, a proszę na drugi raz o mnie nie zapomnieć, bo polowanie w tej cudnej kniei to prawdziwa rozkosz dla myśliwego. Strzelano tam także i do cietrzewi, ale bez skutku. Łopatyn ma 16 tysięcy morgów, jest więc gdzie i ze dwa miesiące polować. Szkoda, że tak krótko trwała zabawa! — Muszę jeszcze dodać, że w Łopatynie doskonale tropią. Gdzie tylko zapowiedziano dziki, tam istotnie były. Zajęcy mogło paść dwa razy tyle, ale źle strzelano Przytem pierwsze strzały do dzików, a dzik ostatni z miotu wychodzi. Sarn bardzo wiele, ale jak zwykle mało się rogaczy z nagonką zabija, bo uderzają na flanki i wracają — chociaż rogaczy dużo, bo gdzie trzy sztuki idzie, to pewno stary rogacz między niemi.

W Toporowie u hr. Wł. Baworowskiego polowałem 3. 4. 5 i 6 lutego w najniekorzystniejszej chwili. Czarna stopa, a wichry zapowiedziane przez Fabla całe te cztery dnie okropnie dmuchały, tak, że czwartego dnia nasienniki waliły się jak proste rózgi. W oczach moich może kilkanaście z korzeniem runęło. Myśliwi jednakże, oprócz dwóch, dotrzymali placu. Polowaliśmy w 12 strzelb i ubiliśmy 25 dzików, 15 danieli i 10 rogaczy. Bardzo to mało jak na Toporów, w porównaniu z przeszłym rokiem Padły dwa odyńce — jednego zabił p. prezydent Korytowski, drugiego hr. L. Starzeński — a dwoma ślicznymi strzałami z ekspresu hrabina Henrykowa Starzeńska zabiła na 100 kroków, trafiwszy w komorę, bardzo dużą samurę. Z reszty zwierzyny prawie na każdego myśliwego coś przypadło. Każdy więc był kontent, a dziękując gospodarstwu, — bo i pani hrabina była z nami, — jeżeli nic nie powiedział, to pomyślał: Żeby tylko nie zapomniano o mnie na rok przyszły!

W Korsowie polowałem przez dwa dni; zabito 14 rogaczy, 2 lisy i 76 zajęcy. Polowano tylko w kółku rodzinnem — a O. Horodyński jak zwykle doskonale łowy prowadził.

*M. hr. Tyszkiewicz,*
*delegat Brodzki.*

---

Woziłów w marcu 1896.

**(Towarzystwo myśliwych w Bukaczowcach.)**

Dobre nadzieje, jakie po zeszłorocznem polowaniu jesiennem w Bukaczowcach mieliśmy na polowanie zimowe w styczniu, nie zawiodły naszych oczekiwań, tak co do stanu zwierzyny w kniei, a w szczególności dzików, jak i co do rezultatu polowania.

Odbyło się ono w dniu 27, 28. i 29 stycznia i nie przeciągnęło się do przepisanej statutem ilości pięciu dni, z powodu ogromnego rozjazdu towarzyszy na polowania prywatne, których z końcem stycznia ma zwykle każdy z myśliwych mnóstwo. Dlatego też także i nie wszyscy, z należących do naszego kółka myśliwskiego brali udział w tem polowaniu.

Na strzelb 12, a strzałów mniej więcej 140, padło w tych trzech dniach dzików 7, rogaczy 13 lisów 3 i zajęcy 29, razem sztuk 52. — Dodać tu jeszcze muszę, że zajęcy i rogaczy mogło paść więcej, ale w niektórych miotach pierwszy strzał był do dzika. Było też i dzików i strzałów do dzików dużo, ale niestety te ostatnie często nie dopisywały i wiele dzików poszło chybionych, lub też postrzelonych, a śmiało twierdzić mogę, że przynajmniej w połowie branych przez te trzy dnie miotów, zastawaliśmy dziki.

Ogólny wykaz ubitej w kniei Bukaczowieckiej zwierzyny w roku myśliwskim 1895/96 daje nam sumę 132 sztuk, a to: dzików 9, rogaczy 22, lisów 11, zajęcy 88 i jarząbków 2 na strzałów około 295, a dni polowania siedem. Oprócz tego kilku towarzyszy polowało w lecie na błotach i stawach do państwa Bukaczowieckiego należących i podniosło około 200 sztuk ptactwa błotnego i wodnego.

Z dziejów naszego Towarzystwa zanotować muszę, że na jednem z posiedzeń odbytych w czasie polowań, wybrano ponownie ten sam Wydział i ustanowiono stanowczy termin polowania jesiennego na czas między 10 a 20 października każdego roku, a polowania zimowego między 1 a 20 grudnia. Każdorazowe polowanie winno trwać pięć dni.

Na polowaniu jesiennem zajęcy się nie strzela, a ze względu na słonki, których w naszej kniei zwykle bywa dosyć, uchwalono termin tak wczesny.

Na zakończenie niniejszej korespondencyi wspomnieć muszę o ślicznym miocie i wspaniałym dla oka zamiłowanego myśliwego widoku, którym zamknęliśmy tegoroczne zimowe nasze polowanie. Braliśmy miot ostatni we właściwym rewirze Bukaczowieckim, oddalonym zaledwie o kilkaset kroków od stacyi kolejowej. Byłto zrąb pagórkowaty, zakończony gęsto podszytym kilko-morgowym zagajnikiem, po za który zajść miała nagonka. Myśliwi rozstawili się półkolem na pagórku, mając czysty zrąb przed sobą. Zaledwie nagonka po danym sygnale ruszyła, zaroiło się na zrębie od sarn, których około 30 do 40 sztuk w kilku rudlach z zagajnika wyskoczyło. Zanim też one linię strzelców przeszły, wyruszył w pełnym galopie w ślad za sarnami ładny odyniec na zrąb, a przemykając się pomiędzy spłoszonemi sarnami i defilując poprzed całą linię strzelców wśród gradu kul expresowych, wysełanych do niego na niemożliwe odległości, wyszedł na p. Wincentego Żelechowskiego, który go też dzielnym strzałem położył na miejscu. Dzięki też uwadze wszystkich na poważniejszego zwierza zwróconej, uszły podobno bez szwanku wszystkie sarny w tym miocie, który towarzyszom będzie miłym wspomnieniem tak ładnie zakończonego polowania w kniei Bukaczowieckiej.

*Marceli Bogdanowicz,*
*sekretarz towarz.*

---

Z Litwy w kwietniu 1896.

**(Niedźwiedź i jamniki).**

Zdarzenie, które opisać pragnę, jest już dawniejsze, ale zawsze do wiadomości braci w św. Hubercie podać go warto.

Wyjechałem na spacer do lasu koniem bardzo spokojnym i małą kałamaszką. Nie daleko dworu jamniki moje,

Śrubka, Wykop i Dostań, rozbiegły się po lesie. Mówię do furmana: „Stań!“ Wylazłem z kałamaszki, zapaliłem papierosa, i patrzę, czy nie widać jamników. Macam po kieszeniach, czy wziąłem rewolwer — jest. Admiruję tedy śliczny dzień majowy, a patrząc po lesie, widzę dosyć dużo pochylonych młodych osik, grubości koła, a liście młodziutkie na nich pomięte i nie wiele ich na gałązkach, które tu i ówdzie połamane. Dziwię się, cobyto takiego było? Aż naraz słyszę jakieś chrapanie i parskanie, mnie nie znane. W jednej chwili wyjąłem rewolwer z kieszeni — widzę, biegną jamniki z całej siły, a za nimi niedźwiedzica z dwoma małymi. Gdym to zobaczył, zląkłem się tak, że nie wiem, jakim sposobem papieros mi wypadł z ust, a rewolwer z ręki. Psy dobiegły do mnie, a niedźwiedzica na piętnaście kroków odemnie postawiła drabinę i straszliwie ryczy. Moje jamniki obaczywszy mnie, że stoję, więc i im niema się czego bać, śmiało rzuciły się na małe niedźwiadki, które stały obok matki, — i w jednej chwili nie stało niedźwiedzicy, niedźwiadków i jamników. Pomyślałem: Przepadły jamniki, ale mnie obroniły — a furman krzyczy: „Panoczyk uciekajmy!“ Ja jeszcze nie mogę przyjść do siebie i nie mogę ani słowa wymówić, ani nóg od ziemi podnieść, aby uciec, a furman ciągle woła: „Uciekajmy!“ Wreszcie opamiętałem się, nie tracąc czasu, biegnę prędko do kałamaszki i jadę.

Odjechałem ze trzysta kroków i krzyczę: „Stój!...“ Przypomniałem sobie, że mój rewolwer został na ziemi, a przez noc może deszcz spaść, i rdza go zgryzie. Furman patrzy na mnie i mówi: „Szczo panoczku dumajecie, tuda iści?“ Ja mówię, że tak. A on na to. „Heto waryjacya!“ Lecz ja zsiadłem z kałamarki, poszedłem na miejsce spotkania, rewolwer wziąłem, i myślę o jamnikach. Aż w tej chwili widzę: wracają wszystkie troje z językami wywalonymi, okrutnie pomordowane. Schylam się tedy do nich i dawaj ich całować i głaskać, a mówię do nich: „Poczciwe moje pieski, wyście mi życie ocaliły!“ — biorę je do kałamaszki ze sobą i jadę.

Przyjeżdżam do domu, wchodzę do pokojów i zastaję hrabiego Józefa Tyszkiewicza. Widzi, że ja czegoś niespokojny, pyta się więc: „Co tobie Andrzeju? możeś niezdrów, a może ci się co złego zdarzyło?“ Pani hrabina matka siedzi tuż, więc ja nic nie mówię, zbywam czem mogę, tylko dopytuje się, gdzie jest córka pani hrabiny. Dowiedziałem się, że poszła na spacer, i to w tę stronę, skąd ja wróciłem. Struchlałem i myślę: jak powiem o mojej przygodzie z niedźwiedziami, to narobię rejwachu. Nic tedy nie mówię, aż wróciła i wtedy dopiero rozpowiadam jak było. Hrabia mówi: „Kłamiesz Andrzeju.“ Ja odpowiedziałem: „Niech mnie Bóg skarze, nigdy nie skłamałem“. I znów mówią: „Gdzieżby tu tak blisko były niedźwiedzie?“ aż posłali po furmana, i pytają, co tam się stało w lesie z Andrzejem i z tobą? Więc opowiedział to samo, słowo w słowo, i odszedł. Ale ten paskudny furman opowiedział wszystkiej służbie we dworze, że ze mną jeszcze coś więcej było... ale to nieprawda. Dodaję, że osiki, o których na początku wspominałem, to niedźwiedzie tak poschylały i połamały, żerując świeży liść osik i porozrzucały dużo mrowisk.

*Andrzej Popowicz.*

# KRONIKA.

**„Powszechna Wystawa kraj. r. 1894 i siły produkcyjne kraju“.** Pod tym tytułem pojawiają się już w księgarniach krajowych niektóre zeszyty wydawnictwa, podjętego przez Wydział krajowy, a mającego utrwalić wyniki ostatniej powszechnej Wystawy krajowej, która tak świetnie wypadła. Zeszyt 7, tom II., który mamy przed sobą poświęcony jest łowiectwu i rybactwu. Pierwszy z tych referatów opracowanym został przez p. Juliusza Starkla, drugi przez p. Zygmunta Fiszera.

Pierwszy referat daje nam wierny obraz tego wszystkiego, co było w malowniczym pawilonie łowiecko-leśnym na Wystawie zgromadzonem. Począwszy od wstępnej winietki, gdzie z litery P prześliczna głowa żubra wygląda, aż do wybornych rycin, przypominających nam tak miłe niedźwiedzia w stępicy, najcenniejsze główki sarnie i myłkusy parostek, rogacza hr. J. Potockiego z szczególnie anormalnem rozstawieniem parostek, wieńce i myłkusy jelonie i t. d., mamy tu troskliwy opis najcenniejszych okazów pawilonu łowieckiego, a oraz tej broni myśliwskiej, która była w dziale archeologicznym wystawioną. Opis ten, żywy i zajmujący, kończy się cennem zestawieniem statystycznem wyników łowiectwa w Galicyi w czasie od r. 1885 do 1893 włącznie. Jedna z tych tabel ułożoną jest powiatami, druga zaś latami. Konkluzye, wysnowane przez autora na podstawie tych dat, nie należące już do wystawy, lecz charakteryzujące ogólny stan łowiectwa w kraju w porównaniu z innemi prowincyami monarchii, nie są niestety bardzo pocieszające, gdyż w obec krajów takich, jak Czechy lub N. Austrya, gdzie gospodarstwo łowieckie bardzo jest starannem, stawiają Galicyę dość daleko w cieniu.

Dla wszystkich myśliwych, którzy lubili w uroczym pawilonie łowieckim w czasie Wystawy przebywać, powinienby referat redaktora „Łowca“ być miłem wspomnieniem.

Druga część zeszytu, rybactwo, traktowane jest przez zasłużonego inspektora krajowego dla spraw rybackich więcej w uwzględnieniu tego, co się w kraju dla rybactwa robi i robić powinno, niż z powołaniem się na Wystawę, gdyż tam dział rybacki był bardzo ubożuchny. Do działu tego dołączoną jest ciekawa mapa Galicyi, wykazująca ważniejsze gospodarstwa łowieckie racyonalne i dzikie stawy. Tymi ostatnimi, przedstawionymi przez niebieskie kółka, zasianą jest niestety prawie cała wschodnia Galicya, podczas gdy kółka czerwone (gospodarstwa racyonalne) świecą się przeważnie w okolicach Wadowic i Krakowa. Właściwe rozdziały o rybach ich rozsiedleniu i rybactwie, poprzedza szczegółowa hydrografia kraju.

---

**Na przemysłowej Wystawie w Berlinie,** którą oboje cesarstwo w dniu 1. maja otwierają i która zapowiada się bardzo okazale, będzie urządzoną także międzynarodowa wystawa czasowa psów, połączona z próbami tresury. Przeznaczono na niej dnie 29., 30. i 31. maja.

---

**Zatrucie ryb w Odrze.** Z Raciborza donoszą, iż Odra od strony Austryi tak silnie smrodliwymi materyałami zanieczyszczoną została, że stan zarybienia co najmniej na 3 lata zupełnie zniszczony. Koło Raciborza woda wyrzuciła na małej przestrzeni około 40 cetnarów ryb nieżywych, a rybacy i towarzystwa rybackie widzą z żalem zniszczony plon kilkuletnich usiłowań swoich. Rybacy pozbawieni zarobku wnieśli zażalenie do prezydenta rządu krajowego.

---

**Kawiar wiślany** zaczyna występować jako stały artykuł handlowy. Wyrabiają go w Ciechocinku i w Włocławku, a produkcya ta przybiera coraz szersze rozmiary i kawiar wiślany cieszy się już dziś w Niemczech wielkiem wzięciem. *D. Fischer Ztg.* oblicza, że dwie firmy w Ciechocinku wyrobiły i rozesłały kawiaru w ostatnich latach za kilka kroćstotysięcy rubli. Ikry do wyrobu kawioru dostarczają jesiotry, które na wiosnę idą Wisłą do góry aż do Sanu, chcąc się „napić

słodkiej wody“ jak mówią włoczkowie. W ostatnich dwóch latach był połów jesiotrów bardzo wydatny i stąd też pojawiły się w handlu znacznie większe ilości kawiaru.

---

**Zwierzostan łosiów w Niemczech** oblicza westfalskie czasopismo łowieckie i oprócz Ybenhorstu, który zazwyczaj podawanym bywa jako jedyna łosiowa ostoja w Niemczech, wymienia następujące wschodniopruskie nadleśnictwa, w których wedle urzędowych raportów miały się jeszcze w jesieni r. 1894 znajdować łosie, a to: Tapiau (8 sztuk), Gauleden (24), Mehlauken (7), Pfeil (16), Mały Najok (7), Greiben (40), Fritzen (10), Tawellningken (60) a w końcu Ybenhorst ze 100 sztukami, tj. razem w 9 nadleśnictwach Wschodnich Prus 272 sztuk łosi.

---

**W Szwajcaryi**, może trochę zapóźno, zaczynają sobie przypominać, że dobrzeby było chronić ustawowo zwierzęta łowne od zagłady. Rząd kantonu Waadt wydał pod d. 21. listopada 1895 rozporządzenie, w którem mieści się zupełny zakaz polowania na jelenie przez lat 6, tj. do końca r. 1901 pod karą 500 franków i odebrania licencyi myśliwskiej aż do uiszczenia grzywny. Kara za ubicie kozła w porze ochronnej ustanowioną została na 150 franków i odebranie licencyi aż do uiszczenia grzywny.

---

**Na Helgolandzie** widziano ubiegłej zimy między 13. a 16. stycznia dużo słonek i ubito ich 16 sztuk.

---

**Pszczoły w Afryce.** W południowej Afryce, w stepach Kalahari, obejmujących około miliona kwadratowych kilometrów, wyszukują Betszuanie w sposób wcale dowcipny miód, który tam pszczoły składują w plastrach, wiszących wolno w szczelinach skał lub na gałęziach drzew. Betszuanie korzystają w tym celu z niedostatku wody, który w pewnej porze roku najbardziej pszczołom dokucza. W takiej porze napełnia Betszuanin skorupę strusiego jaja wodą, stawia ją wolno w polu i czuwa, aż ją pszczoły obsiędą. Wtedy podnosi skorupę w górę i śledząc, w którą stronę pszczoły odlatują, idzie w kierunku przez nie wskazanym i dochodzi do pożądanego miodu.

---

**Przeciwko broni małokalibrowej** powstaje opozycya w kołach wojskowych i marynarzy Stanów Zjednoczonych, gdzie zaprowadzenie karabinów kalibru 0·303, zamiast dotychczasowej broni systemu Springfielda, zostało niedawno postanowionem. Co do siły uderzenia i dystansu okazała nowa broń małokalibrowa zalety zadziwiające. Na odległość 30 yardów przebija kula takiego karabinu 62 desek $^3/_4$ calowych ustawionych za sobą o $^3/_4$ cala jedna za drugą, a jeszcze w odległości 2500 yardów jest strzał trafnym i niebezpiecznym. Lecz to nie jest jeszcze wszystko, czego się od strzału wymaga; i w wojnie i w łowach ma on albo zadać śmierć, albo uczynić niezdolnym do dalszej walki, a pod tym względem zebrane w ostatnich czasach doświadczenia, nie świadczą na korzyść broni małokalibrowej.

W wojnie pomiędzy Chilijczykami a Peruwiańczykami, gdzie część armi chilijskiej bronią o kalibrze 0·30 uzbrojoną była, sprawdzili chirurdzy, że tylko 15% trafionych utraciło życie lub stało się niezdolnymi do walki. Japończycy byli w ostatniej wojnie z Chinami uzbrojeni przez jenerała Mutawę w wyborną broń mołokalibrową, najbardziej zbliżoną do francuskiej. Otóż sprawozdania obcych oficerów a między innymi porucznika O'Brien, który ze strony wojennego departamentu Stanów Zjednoczonych był na plac walk chińsko japońskich odkomenderowany, twierdzą, że trafność strzałów pozostawiała wiele do życzenia i że kula tylko wtedy zabijała przeciwnika lub czyniła go niezdolnym do walki, gdy trafiła w głowę lub brzuch. Uderzywszy w kość, przewierca kula gładką dziurę nie druzgocząc kości wcale. A należy dodać, że kula karabinu japońskiego ma kaliber 0·315, więc jest nieco większa, niż kula karabinów małokalibrowych europejskich.

O działaniu karabina angielskiego cal. 0·30, opierając się na doświadczeniach poczynionych w walkach z Birmańczykami i na granicy Tybetu, raportuje jenerał Lowe co następuje: „Niejednokrotnie przyprowadzano nam jeńców, którzy byli przestrzeleni dwoma lub trzema kulami, a mimo to zdolni byli odbyć marsz na 6 lub 7 mil (ang.), zanim się do naszego obozu dostali. Jeńcy ci tłumaczyli, że na placu boju dlatego tak mało trupów i rannych pozostaje, iż pada tylko ten, który zostanie trafiony w głowę lub w brzuch, a niezdolnym do ucieczki staje się tylko ten, któremu kula stawy w nodze nadweręży. Chitralczycy na granicy tybetańskiej mieli broń cal. 0·45 i dlatego strzały ich były śmiertelne lub raniły tak, że żołnierz stawał się niezdolnym do boju“.

Jenerał Lowe przytacza jeszcze następujący drastyczny przykład. „Pewnego razu — pisze on — mieliśmy rozstrzelać szpiega. Oddział żołnierzy stanął od niego na 15 kroków i dał ognia. Sześć kul trafiło delinkwenta, a trzy przeszyły mu pierś. Padł jak piorunem rażony, lecz gdy mu przecięto więzy na nogach i rękach, skoczył i uciekał jeszcze ćwierć mili. Dopiero kawalerzysta z szablą w ręce położył koniec tej przykrej scenie“.

Fachowe sprawozdania, zamieszczone w londyńskich *Times* o walkach na Kubie, konstatują między innymi, że o wiele więcej pada Hiszpanów od kul, niż Kubańczyków, a to dlatego, że broń powstańców jest w ogóle większego kalibru, niż karabiny hiszpańskie.

Co zatem pod względem humanitarnym i lekarskim uważać należy za zaletę, to staje się niekorzyścią, gdy przychodzi do walk, gdzie strony walczące nie są uzbrojone bronią jednego kalibru.

---

**Zagangesowe przysmaki.** Dla rozmaitych celów podróżują ludzie; są przyrodnicy, są archeologowie, są łowcy — dlaczegóżby nie miało być podróżnika, który jedzie na to, ażeby się dowiedzieć, co gdzie jedzą i jak to smakuje? Znalazł się tedy i taki profesor niemiecki, jakiś dr. F. Noelling, który z pobytu w Indyach zagangesowych taką daje relacyę o niektórych przysmakach tamtejszych:

„Gdy kilka lat temu byłem w Tavoy, w Birmie, jednem z głównych miejsc wywozu sławnych gniazd jaskółczych, uważałem za mój obowiązek skosztować to „gniazda“. Udałem się więc do kupca Chińczyka i przedłożyłem mu moje życzenie. Ten przyniósł mi kilka podługowatych kawałków żółtawej, galaretowej masy i położył takowe na wagę; do drugiej kładziono rupie. Tyle sztuk srebra, ile odpowiada wadze, płaci się kupcowi. Chińczyk przysłał mi także kucharza, który gniazda jaskółcze włożył najprzód do wody, w której w krótkim czasie napęczniały, poczem dodawszy mleka i wiele cukru, przystawił do ognia. Wynikiem była biaława, gęsto-płynna masa, mdłego słodkiego smaku. Mniemam, że w podobny sposób możnaby bardzo dobrze za pomocą złego kleju sporządzić prawdziwą chińską polewkę z gniazd jaskółczych.

Przy ujściach rzek na wybrzeżu Tenasserim (w Birmie południowej) znajdujemy mnóstwo krokodylów i podczas mego pobytu w Moulmein zastrzeliłem takie zwierzę. Radość była wielką, zebrali się prawie wszyscy mieszkańcy wsi i zabierali pełne kosze mięsa krokodylowego. Mięso to było czyste i białe, kazałem sobie tedy z niego upiec kilka „steaks“. Nie mogę jednakże twierdzić, że były bardzo smaczne. Zdawało się, że składają się głównie z mułu rzecznego.

Kiedy już mówię o gadach, to wspomnę o potrawie jaszczurkowej. W niektórych częściach środkowej Birmy żyje w pagodach rodzaj jaszczurek, które u Birmanów uchodzą za wielki przysmak. Całymi koszami sprzedają je w bazarach. Jaszczurki nie zostają naturalnie w całości podawane na stół, lecz odcina się im nogi, łeb i ogon, a resztę pokrajaną w kawałki w kształcie kostek, smaży się w maśle. Jak smakuje ta potrawa? Odpowiedź na to jest trudną, gdyż ostra przyprawa odbiera jej smak właściwy, oświadczam wszakże, iż mnie bardzo smakowała.

Dwie inne potrawy poznałem w kraju Szan w pobliżu granicy chińskiej. Były to dżdżownice i smażone psy z ryżem. Dżdżownice czyli glisty ziemne kładzie się do garnka z mlekiem, pozostawia się je w nim przez dni kilka, odświeżając mleko codziennie. Dżdżownice tuczą się i stają się grubemi jak ołówek, smaży się je potem w maśle, dodając okruszyn chleba, aż do nabrania koloru brunatnego. Na półmisku wyglądają jak makaron przysmażony i smakują wybornie. Pieczone psy są także dobre. Lecz potrzeba do tego specyalnych psów, które, o ile mi się zdaje, istnieją tylko w kraju Szan i w Chuenan. Jadalny taki pies jest podobnym do szpicla. Żywi się go tylko ryżem. Najlepszym sposobem przygotowania jest napchanie go ryżem i upieczenie w całkowitości. Natenczas ma smakować najlepiej.

Sałata bambusowa tworzy w tej części Azyi ulubioną potrawę. Dla sporządzenia jej gotuje się latorośle bambusowe, kraje w kawałki i urządza jak sałatę, która jest wyborną, trzeba się jednakże przyzwyczaić do jej odoru. Koroną zaś wszystkich owoców jest owoc zwany „dorian“. Zapełnia powietrze silnym odorem, który przypomina... mierzwę farmerską. Jeden „dorian“ wystarczy, aby przesmrodzić cały dom, lecz Birmanie jedzą ten specyał z prawdziwą rozkoszą.

Mniejszemi łakociami są prażone cykady. Na końcu kwietnia lub na początku maja owady te świerszczowate ukazują się milionami w lasach kraju Szan, gdzie najchętniej się zatrzymują nad brzegami rzek. Jeżeli człowiek pozbędzie się obrzydzenia, jakie wywołuje postać cykady, natenczas będzie umiał ocenić przyjemny, do orzechów podo-

bny smak tej potrawy. Nakoniec wspomnijmy jeszcze o szczególnym przysmaku: o sercu słonia. Najdelikatniejszy, najlepiej przyrządzony „roastbeef“ nie znaczy nic w porównaniu ze sercem słonia“.

Dr. Noelling miał widocznie dużo odwagi i dobry żołądek, jeśli całe to „menu“ wypróbował. Można mu szczerze życzyć: Dobrego apetytu!

---

**Jeleń Wapiti**, ważący 651 ang. funtów, zupełny albinos, został niedawno temu ubity w Stanie Maine w Ameryce północnej.

---

**Operacya oczna u tygrysa.** W sztutgardzkim ogrodzie zoologicznym dostał jeden z hodowanych tam młodych tygrysów bardzo bolesnej choroby ocznej. Gdy żadne środki lecznicze nie pomagały, postanowił jeden z okulistów tamtejszych uwolnić zwierzę od ogromnych cierpień i wyjąć mu prawe oko. Chloroform bardzo szkodliwie działa na wszelkie gatunki kotów, więc też tygrysa owego musiano uspić kokainą. Oprócz tego trzymało zwierzęcego pacyenta podczas operacyi kilku co najtęższych dozorców. Tygrys zachowywał się z początku dosyć spokojnie i dopiero przy przecinaniu muskułu i nerwu ocznego musiał odczuć dotkliwy ból, który okazał bolesnymi grymasami paszczy i kurczami tułowia. Natychmiast po operacyi uspokoił się supełnie i odzyskał „spokój ducha“. Obecnie dostał szklanne oko.

---

**Przywary zwierząt.** Przyroda rozdzieliła w gospodarstwie swojem rozmaite role zwierzętom; jedne są drapieżne, mięsożerne, inne roślinożerne, jedne rabują, drugie są ofiarami i koniec końców nie można mieć za złe tygrysowi, że zażera antylopę, lub jastrzębiowi, że chwyta gołębia, bo to leży w ich naturze, jest ich przeznaczeniem. Ale pomiędzy zwierzętami jednego gatunku, podobnie jak i między ludźmi, trafiają się pewne indywidualne, a w danym razie nagminne zboczenia, gdzie i prosta bestya może być za pozwoleniem jak człowiek, to leniem, to kłamcą, to złodziejem, a nawet zbrodniarzem przeciwko swej naturze i przeznaczeniu. Każdy, kto chował psa, konia, małpę i t. d. miał nieraz sposobność robić w tej mierze doświadczenia. U zwierząt oswojonych można zboczenia te przypisać poniekąd wpływom „cywilizacyi“, która w nich popędy natury wykrzywia, ale i u zwierząt w wolnej naturze żyjących trafiają się przywary indywidualne i zboczenia zbrodnicze.

Znane są n. p. wypadki chorobliwej złośliwości u słoni, które wbrew swej naturze napadają ludzi i dopuszczają się istnych zbrodni, żarłoczność dzików pożerających własne młode, wzajemne zażeranie się wilków i t. d.

Muccioli, sekretarz głównego rzymskiego stowarzyszenia gołębi pocztowych, notuje ciekawe szczegóły z życia tych ptaków. Otóż w każdym gołębniku ma się znajdować pewna liczba ptaków, ścielących sobie gniazda jedynie z materyałów, ukradzionych towarzyszom. Próżniaki te, wyzyskujące w ten sposób pracę cudzą, nie mają żadnej wartości jako gołębie pocztowe. Niepodobna obdarzać ich zaufaniem, drogę bowiem odbywają nieregularnie, nie spieszą się do gniazda, a czasem giną na czas dłuższy, niewiadomo gdzie i kiedy. O jednym z takich ptaków opowiada Muccioli, iż ulubioną jego rozrywką było wdzieranie się do gniazd i zabijanie dziobem piskląt. Ptak ten działał bez wątpienia pod wpływem anormalnego popędu zbrodniczego.

Podobne objawy zauważył jeden z naturalistów amerykańskich także między pszczołami. Zapewnia on, iż istnieją pszczoły, które zamiast pracować, napadają na ule, mordują placówki, zabijają królowę i pszczoły napadnięte, wreszcie chwytają i porywają zapasy żywności. Po kilku wyprawach tego rodzaju pszczoły-rabusie nabierają smaku do zyskownego rzemiosła zbójeckiego. Jestto wówczas plaga wszystkich rojów w okolicy. Zresztą można poniekąd każdy rój sprowadzić z drogi cnoty na drogę bandytyzmu, jeśli się poi pszczoły mięszaniną wódki i miodu. Pod wpływem trunku owady stają się niezdolne do pracy produkcyjnej i zabierają się do rozbójnictwa.

Bliższe badania wykażą bardzo wiele podobnych objawów w całym świecie zwierzęcym.

---

**Szczególną zapowiedź ślubną** zamieścił w dziennikach F. C. Selons, sławny podróżnik i łowca. Oto dosłowna treść zapowiedzi:

„Fryderyk C. Selons, który zastrzelił 68 panter, 34 słoni, 274 bawołów i mnóstwo innej zwierzyny, uległ teraz sam strzałowi Amora. Ten sam, który nastawiał sidła rozlicznym zwierzętom, wpadł teraz w sidła Miss Mary Dunber i będzie musiał nałożyć sobie pierścień ślubny na palec. Zrządzenia Opatrzności są niezgłębione!“

---

**Prokurator i adwokaci** nie dają sobie pokoju nawet na polowaniach. Na pewnem polowaniu w ostatnim sezonie rzecz się tak miała. Brano kociołek na zające. Tuż koło siebie stali dwaj adwokaci siejąc ogniem morderczym. Myśliwi zeszli się wreszcie już tak blisko w kociołku, że strzał był niemożliwym, gdy wtem najniespodziewaniej pojawił się w środku mykita. Jakgdyby wiedząc, że myśliwym już strzelać nie wolno, przedefilował elegancko przed całem kołem myśliwych, a zmierzywszy w końcu złośliwym wzrokiem obu mecenasów, wymknął się pomiędzy nich w pole. Mecenasi odwróciwszy się wygarnęli z czterech luf, na co lis podziękował im kitą bardzo pięknie i zniknął w pobliskim lesie.

— A to chytry mykita! — zawołał stojący obok prokurator.

— Dlaczego?

— Bo sobie wziął aż dwóch adwokatów, żeby się wywinąć.

---

Wielu jeszcze szanownych członków gal. Towarzystwa łowieckiego zalega z wkładkami za rok bieżący, niektórzy także za lata ubiegłe. Pragnąc ułatwić im spłatę tej należytości, załączamy do dzisiejszego numeru „Łowca“ przekaz pocztowy i prosimy o jak najrychlejsze użycie go dla wyrównania zaległości, gdyż wydawnictwo „Łowca“ i sprawy Towarzystwa cierpią wiele na nieregularnem uiszczaniu wkładek.

Z Sekretaryatu gal. Towarzystwa łowieckiego.

---



**Do dzisiejszego numeru dołączamy Ogłoszenie o Zakładzie zdrojowo-kąpielowym w Rymanowie.**

Sekretarz i Skarbnik gal. Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** ulica Św. Zofii l. 8.



Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.